

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 144 (Rok X, Nr 1)

1 stycznia 1950

Cena (Price) 1/6

POWAGA, PROSTOTA, GODNOŚĆ

NAUGURACJA Rady Politycznej, z której sprawozdanie podajemy poniżej, odznaczała się powagą, prostotą i godnością. Z każdego słowa i gestu przebijał fakt, że mamy do czynienia z autentycznymi siłami politycznymi, z dojrzałymi ruchami, które, nie rezygnując ze swoich odrębnych programów i dążeń, umiały przyjąć dobrowolną dyscyplinę wspólnych ram działania, nawiązując do świeżej tradycji Rady Jedności Narodowej w kraju pod okupacją niemiecką.

Dowodem jak wielka była potrzeba tego rodzaju instytucji jest, że niemal od pierwszej chwili wykazała ona właściwości katalizatora polskiego życia politycznego. Zarówno przyjęcie mandatów przez najpoważniejszych bezpartyjnych jak obecność na inauguracji szeregu osób z tych nawet stronnictw, które do Rady w pierwszej chwili nie przystąpiły, były oznakami pomyślnymi. Już na pierwszym posiedzeniu uchwalono zwrócić się do dwóch członków prezydium Polskiego Stronnictwa Ludowego, pp. Bagińskiego i Korbońskiego o przystąpienie do Rady i wybrać pierwszego z nich jednym z wiceprzewodniczących Rady a drugiego zastępcą przewodniczącego Wydziału Wykonawczego. Te wydarzenia pozwalają mieć nadzieję, że Rada zdoła skupić z czasem całość polskich ruchów politycznych, pozostawiając na boku tylko takie grupy, które postępowaniem swoim same stawiają się poza nurtem życia politycznego narodu.

Perspektywa takiego rozwoju wywołuje historyczne i nieprzebierające w doborze argumentów ataki z dwóch stron: jedną jest inspirowany przez prof. Kota wychodzący w Lille „Narodowiec“, drugą redagowany przez p. S. Mackiewicza londyński tygodnik „Lwów i Wilno“. Dochodzi do tego, że chwilami nie wiadomo, czy to Cat chodzi drogami Kota czy Kot drogami Cata. Nie sądzimy, by nawet autorzy mogli brać serio swoje zdanie, że np. powołanie do życia Rady Politycznej jest zbrodnią lub, że jej uczestnicy spodziewają się tytułów szambelańskich od Amerykańców i Anglików.

Tymczasem Wydział Wykonawczy Rady ukonstytuował się i rozpoczął działalność. Reakcja opinii polskiej dowodzi, że doceniła ona znaczenie powstania Rady Politycznej a liczne głosy prasy zachodnio-europejskiej świadczą, że powstanie to nie przeszło bez echa i otwiera nowe możliwości działania dla sprawy polskiej. Najważniejsze zaś, że w kraju fakt znalezienia wspólnej platformy przez główne ruchy polityczne i nazwiska uczestników budzą zaufanie i otuchę, której wzbudzić nie mogły nazwiska nieznane lub znane z klęski wrześniowej.

OTWARCIE RADY POLITYCZNEJ

We wtorek 20 grudnia w sali Central Hall w śródmieściu Londynu odbyło się otwarcie Rady Politycznej wyłonionej przez główne stronnictwa polskie. W obszernej sali, udekorowanej emblematami narodowymi, oprócz kilkudziesięciu delegatów zebrało się około 400 osób publiczności przybyłej za kartami wstępu. Zebranie zagałę jako najstarszy wiekiem spośród członków powstającej Rady p. Tomasz Arciszewski, b. premier. W inauguracyjnym przemówieniu wskazał on, że pod względem treści powstająca Rada jest kontynuacją Rady Jedności Narodowej, która kierowała państwem podziemnym do r. 1945. Następnie wezwał on obecnych do uczczenia przez powstanie i minutę milczenia pamięci bojowników poległych za Polskę zarówno z ręki niemieckiej jak i sowieckiej, a zwłaszcza tych wszystkich, którzy zginęli w ostatnim czasie.

Po uczczeniu poległych p. Arciszew-

ski wezwał jako sekretarza najmłodszego wiekiem spośród członków p. Antoniego Dargasa. P. Dargas odczytał stwierdzenie Komisji Weryfikacyjnej, która uznała pełnomocnictwa następujących członków:

Członkowie

- 1) Tomasz Arciszewski, b. premier, b. przewodniczący Rady Jedności Narodowej, b. poseł na sejm (PPS),
- 2) Zygmunt Berezowski, b. minister spraw wewnętrznych, b. poseł na sejm (SN),
- 3) Franciszek Białas, b. członek rządu Polski Podziemnej (PPS),
- 4) dr Tadeusz Bielecki, b. poseł na sejm (SN),
- 5) Wacław Bruner (PPS),
- 6) Adam Ciołkosz, b. poseł na sejm (PPS),
- 7) dr Lidia Ciołkoszowa (PPS),
- 8) Wawrzyniec Czereśniewski (PPS),
- 9) Antoni Dargas (SN),
- 10) prof. Władysław Folkierski, b. minister oświaty (SN),
- 11) Jan Jankowski (NiD),
- 12) Stanisław Jordanowski (NiD),
- 13) Władysław Kański (SN),
- 14) gen. Tadeusz Komorowski („Bór“), b. premier, b. dowódca AK (niezależny),
- 15) Rowmund Piłsudski (NiD),
- 16) Henryk Polowiec (PPS),
- 17) Jan Radomyski (NiD),
- 18) Marian Emil Rojek (SN),
- 19) Adam Rudzki (NiD),
- 20) Edward Sojka (SN),

W jedenastą rocznicę zgonu



ROMANA DMOWSKIEGO

odprawione zostanie w dniu 2 stycznia 1950 r. o godz. 10 rano nabożeństwo za spokój Jego duszy w kościele Brompton Oratory

STRONNICTWO NARODOWE

- 21) prof. Stanisław Stronński, b. minister informacji, b. poseł na sejm (niezależny),
 22) Zbigniew Stypułkowski, b. poseł na sejm (SN),
 23) prof. Wiktor Sukiennicki (niezależny),
 24) Artur Szewczyk (PPS),
 25) dr Tymon Terlecki (NiD),
 26) dr Wojciech Wasiutyński (SN),
 27) Bolesław Wierzbowski (NiD),
 28) Wacław Zagórski (PPS),
 29) Zygmunt Zaremba, b. p.o. przewodniczącego Rady Jedności Narodowej, b. poseł na sejm (PPS),
 30) Tadeusz Zawadzki (NiD),
 31) Jerzy Zdzichowski, b. minister skarbu, b. poseł na sejm (niezależny),
 32) prof. Adam Żółtowski (SN).

Zastępcy

- 1) Karol Bortkiewicz (PPS),
- 2) Marian Dobosz (PPS),
- 3) Józef Garliński (NiD),
- 4) Wincenty Jaśniewicz (PPS),
- 5) Ludwik Krajewski (SN),
- 6) Lucjan Krawiec (PPS),
- 7) Edward Łabędź (PPS),
- 8) Witold Łęgowski (SN),
- 9) Tadeusz Nowakowski (NiD),
- 10) Jerzy Prądzyński (NiD),
- 11) Alfons Sergot (SN),
- 12) Aleksander Sierz (SN),
- 13) Wiktor Trościanko (SN),
- 14) Wiktor Weintraub (NiD).

Następnie p. Arciszewski zaproponował porządek dzienny i regulamin wstępny do ukonstytuowania się Rady. Regulamin przewidywał powołanie Prezydium w składzie przewodniczącego, trzech wiceprzewodniczących i sekretarza. P. Zygmunt Zaremba zgłosił poprawkę o uzupełnienie Prezydium stanowiskiem zastępcy sekretarza. Poprawkę tę przyjęto. W myśl regulaminu Rada wybiera również Wydział Wykonawczy w składzie przewodniczącego, jego zastępcy i sześciu członków oraz Komisję Regulaminową w składzie czterech członków i trzech zastępców.

Na przewodniczącego Rady p. Zaremba zgłosił kandydaturę p. Arciszewskiego, którą przyjęto przez akklamację. Na wiceprzewodniczących p. Władysław Folkierski zgłosił kandydaturę p. Zygmunta Berezowskiego, p. Jan Jankowski kandydaturę p. Tymona Terleckiego. W tym miejscu p. Adam Ciołkosz zgłosił wniosek o wybór na wiceprzewodniczącego p. Kazimierza Bagińskiego, znanego działacza Polskiego Stronnictwa Ludowego, b. wiceprzewodniczącego Rady Jedności Narodowej. Wszystkie kandydatury przyjęto jednomyślnie. Na sekretarza p. Folkierski zgłosił kandydaturę p. Dargasa, a na zastępcę sekretarza p. Zaremba zgłosił p. Wacława Zagórskiego.

Przewodniczącym Wydziału Wykonawczego na wniosek gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego wybrano p. Jerzego Zdzichowskiego, b. ministra skarbu. Na wniosek p. Ciołkosza wybrano zastępcą przewodniczącego p. Stefana Korbońskiego, działacza Polskiego Stronnictwa Ludowego i ostatniego delegata rządu na kraj. Członkami Wydziału Wykonawczego wybrano pp.: Edwarda Sojkę i Zbigniewa Stypułkowskiego ze Stronnictwa Narodowego, pp. Franciszka Biłasa i Adama Ciołkosza z Polskiej Par-

tii Socjalistycznej, oraz pp. Rowmunda Piłsudskiego i Tadeusza Zawadzkiego z PRW „Niepodległość i Demokracja“. Przewodniczącym Komisji Regulaminowej wybrano p. Stanisława Stronńskiego, a członkami pp. Wacława Brunera, Stanisława Jordanowskiego, Władysława Kańskiego, Ludwika Krajewskiego, Jana Radomyskiego i Wacława Zagórskiego.

Z kolei nastąpiły przemówienia przedstawicieli stronnictw. Pierwszy imieniem Stronnictwa Narodowego przemawiał dr Tadeusz Bielecki.

Przemówienie prezesa Bieleckiego

Stronnictwo Narodowe, w którego imieniu dziś przemawiam, wita z zadowoleniem powstanie Rady Politycznej.

Fakt powołania do życia instytucji międzypartyjnej przerywa proces rozbicia, jaki cechował ostatnio polskie życie polityczne. Rozpoczął się proces odwrotny — łączenia wysiłków, nieraz bardzo odległych od siebie pod względem ideowo-programowym, stronnictw i grup politycznych.

Jednoczenie sił politycznych jest o wiele trudniejsze, niż rozbijanie. Można bardzo łatwo i szybko podzielić i skłócić — proces zespalania wymaga czasu i cierpliwości, wyrzeczeń i wzajemnych ustępstw. W polityce liczą się przede wszystkim osiągnięcia pozytywne, fakty, a nie chcenia.

Ważne jest łączenie a nie dzielenie, bo ono wzmacnia siły i pozwala z wiarą patrzeć w przyszłość. Trzeba nie lada lekkomyślności i pychy, aby sądzić, że się samemu sprostą tym niesłychanie ciężkim obowiązkom, jakie na nasze pokolenie, zdziesiątkowane przez obie okupacje, historia nakłada. Jest taki ogrom pracy przed nami, musimy wszystko prawie od nowa budować, że nawet najpotężniejszy ruch polityczny, a cóż dopiero pojedynczy człowiek, musi szukać sprzymierzeńców, musi iść razem, a nie w rozsypane.

Stąd waga powstania wspólnej organizacji, skupiającej przedstawicieli historycznych ruchów politycznych, związanych z krajem, grup, które powstały po wojnie i wybitnych osób, nie należących do stronnictw.

Zarówno położenie międzynarodowe, jak i dramatyczna sytuacja w kraju, jak wreszcie potrzeby emigracji wymagają skupienia sił i łącznego działania.

Nikt bez nas nie wyzwoli Polski spod obcego jarzma. Nikt bez naszej woli i celowego działania nie odbuduje niezależnego państwa.

Na gruncie międzynarodowym konflikt między Stanami Zjednoczonymi i ich sprzymierzeńcami z jednej strony, a Rosją Sowiecką i jej satelitami

z drugiej zaostrza się coraz bardziej i obejmuje nowe kontynenty.

Mamy dziś do czynienia z zażartą walką w skali dotąd nie spotykanej. Szanse tej walki o urządzenie świata na jedną czy na drugą modłę zaczynają się wyrównywać w miarę upływu czasu, który pozwoli Sowiecom na produkcję bomby atomowej i pogłębienie dezorganizacji społeczno-gospodarczej i politycznej Zachodu.

Nie powinno nas ludzkie zwolnienie tempa ataku sowieckiego w Europie. W parze z pewnego rodzaju defensywą w naszej części świata szła na olbrzymią skalę ofensywa w Azji. Podbój Chin przez komunizm wydaje się coraz bliższy realizacji i nie trzeba wiele wyobraźni, aby widzieć, jak pożar z Chin przerzucić się może na kraje sąsiednie i jak już dziś triumfy komunistów chińskich oddziałują na aktywność sił ośrodkowych w Burmie, Indochinach, Indonezji, Filipinach, Japonii i Indiach.

Wojna zatem trwa i rozszerza się, tylko w nowej postaci, bez wypowiedzania jej.

Wszyscy mówią o pokoju, a w gruncie rzeczy gotują się do wojny. Wydaje się, że wbrew próbom odraczania konfliktu przez ludzi odpowiedzialnych za rządy — rozwój wypadków idzie nieubłaganie w kierunku ostatecznego wyjaśnienia położenia w świecie.

Checmy brać świadomie udział w walce z komunizmem i przygotowywać grunt dla sprawy polskiej na okres przemian, który się zbliża.

Stąd konieczność aktywnego działania na terenie międzynarodowym, obowiązek docierania tam, gdzie rozstrzygają się losy świata i Europy. Wymaga to zastosowania całkiem nowych metod działania na gruncie międzynarodowym, mniej biurokratycznych, a bardziej sprężystych i skutecznych. Zachodzą ciagle fakty, wymagające czujności i odpowiedniej reakcji z naszej strony.

W Strassburgu otwiera swe obrady Zgromadzenie Europejskie — trzeba tam dotrzeć i przypomnieć, że nie ma zjednoczonej Europy bez wschodniej jej połowy. Powstaje Sekcja Europy Środkowo-Wschodniej w obrębie Ruchu Europejskiego — staramy się tam wnieść polski punkt widzenia. Postulatem Stronnictwa Narodowego, który wysunęliśmy, jest powstanie grupy polskiej Ruchu Europejskiego i delegowanie przez nią przedstawicieli do władz naczelnych Ruchu. Dotąd było to niemożliwe. Należy wyrazić nadzieję, że powstanie Rady Politycznej przyczyni się do szybszego urzeczywistnienia tego postulatu.

Wolelibyśmy oczywiście, aby Euro-

W ROZPOCZYNAJĄCYM SIĘ NOWYM ROKU 1950
 WSZYSTKIM CZYTELNIKOM SKŁADA WYDAWNICZEGO
 „MYŚLI POLSKIEJ“ NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA
 PRZYBLIŻENIA SIĘ CELU, O KTÓRY WALCZYMY
 I POMYŚLNOŚCI ŻYCIA OSOBISTEGO I RODZINNEGO.

pa Zachodnia przeciwstawiła pochodowi komunistycznemu mniej retoryki, a więcej siły ideowej i materialnej, bo tylko siłą można odeprzeć brutalny nacisk Sowietów, idący ze wschodu.

Osobne zagadnienie stanowi sprawa niemiecka. Czy kto chce czy nie chce ona jest dziś osią polityki europejskiej. Nie pragniemy unicestwienia narodu niemieckiego, choć Niemcy chcieli wytepić naród polski. Chcemy, aby Niemcy żyli, nie gorzej ale też i nie lepiej od sąsiadów. Ale musimy dbać o to, aby raz wreszcie przestały tym sąsiadom zagrażać i najeżdżać ich ziemię. Innymi słowy, trzeba usunąć źródła agresji niemieckiej, z ducha pruskiego się wywodzącej. Stąd nasze żądanie uznania obecnej granicy zachodniej Polski na Odrze i Nisie Łużyckiej. Pozbawia to Niemców arsenału wojennego śląskiego i wraz z kontrolą Zagłębia Ruhry pozwala utrzymać w korbach zakusy szowinistyczne tych, którzy dwukrotnie w ciągu ćwierćwiecza sięgali po panowanie nad światem i niszczyć Europę przygotowywali grunt pod poslew komunizmu.

Wpuszczenie Niemiec do Zgromadzenia Europejskiego bez odpowiednich rękojmi — zwłaszcza przy słabości państw zachodnich — doprowadzić może do hegemonii niemieckiej na naszym kontynencie. Tym bardziej jest to niebezpieczne, że nie wiadomo, z kim Niemcy w czasie konfliktu pójdą. Decyzja w tej sprawie odsuwana jest przez nich świadomie. Współpraca z Niemcami w obrębie Unii Zachodniej powinna się zaczynać nie od zaspokajania ich rewizjonistycznych ambicji; chodzi o to, czy naród niemiecki wyrzeknie się swych zaborczych dążeń i bronić będzie cywilizacji chrześcijańskiej przeciw nawałce komunistycznej. Wreszcie najważniejszym może zadaniem naszym — obok utrzymania i wzmocnienia więzi zadzierżgniętej między narodami brytyjskim i polskim oraz tradycyjnej przyjaźni między Francją i Polską — będzie mocne postawienie sprawy polskiej w Ameryce. Tam się dziś zbiegają nici polityki światowej, tam zapadają główne decyzje. Na gruncie amerykańskim wyrosło żywe zainteresowanie problemem Europy Środkowo-Wschodniej, które m.in. znalazło swój organizacyjny wyraz w Komitecie Wolnej Europy z b. ambasadorem Grew na czele. Zwążywszy powyższe, Rada Polityczna winna objąć swoją polityczną i organizacyjną działalnością Stany Zjednoczone jako jeden z najważniejszych ośrodków polityki światowej i ważną rolę w walce o odbudowanie niepodległego państwa polskiego.

Szukanie oparcia w świecie nie ma nic wspólnego z wykonywaniem cudzej polityki. Polityka polska winna być wyrazem interesów narodu polskiego. Są ludzie małego ducha, którzy nie wyobrażają sobie, żeby można było prowadzić politykę samodzielną. Otóż nie będziemy prowadzić ani polityki amerykańskiej, ani angielskiej, ani francuskiej. Zamierzamy prowadzić nadal po prostu politykę polską.

Takiej polityki wymaga od nas ujrzanym kraj. Nigdy chyba Polska nie znajdowała się w tak ponurym położeniu, jak teraz pod okupacją sowiecką. Może czasy Potopu, może okres rozbiorów w pewnym stopniu przypominają

W poniedziałek dnia 16 stycznia 1950 r. o godz. 19.30

W SALI TEATRALNEJ KLUBU BIAŁEGO ORŁA

2, ALBERT GATE, KNIGHTSBRIDGE, S.W.1

odbędzie się

WIECZOR „MYŚLI POLSKIEJ”

na temat

SPOJRZENIE NA EMIGRACJĘ

Udział biorą: Antoni Dargas, Stefan Łochtin,
Wiktor Trościanko, Wojciech Wasilutyński, Andrzej Wnęć

WSTĘP WOLNY

cnawie obecną. Ale nigdy jeszcze najład obcy nie stosował tak potwornych i tak udoskonalonych od czasów Iwana Groźnego środków ucisku, jak pod rządami sowieckimi. Proces wchłaniania przez wszechobecne i wszechwładne państwo komunistyczne społeczeństwa polskiego idzie różnymi drogami. Po zlikwidowaniu wszystkich przejawów niezależnego polskiego życia politycznego atak poszedł na Kościół Katolicki. Jesteśmy przekonani, że Kościół nasz wyjdzie zwycięsko z narzuconej mu walki, choć czeka go jeszcze niejedna ciężka chwila. Obok walki z religią rośnie niebezpieczeństwo kolektywizacji wsi. Chłop polski opiera się narzucanym mu obcym wzorom gospodarki rolnej i trwa przy własności indywidualnej. Zarówno opór chłopów, jak i brak nowoczesnych narzędzi rolniczych sprawia, że proces sowieetyzacji w tej dziedzinie idzie opornie, choć rząd komunistyczny przyspiesza go jak może.

Obok tych dwu procesów główną uwagę zwróciły Sowiety na młode pokolenie. Toczą się dziś w Polsce zmagania o duszę młodzieży, którą się odcina od rodziny i Kościoła. Wierzymy, że młode pokolenie wytrzyma nacisk najeźdźców i nie odejdzie od tradycji polskiej, nie przestanie czuć i myśleć po polsku.

Drobny handel i przemysł ulega stopniowo zagładzie, a chłop, robotnik i rzemieślnik muszą ciężko pracować na utrzymanie rozbudowanej przez komunizm maszyny państwowej i Bezpolek.

Jeszcze bezwzględniejszy jest ucisk wroga w zagrabionych przez Sowietów ziemiach wschodnich, w których chce się zniszczyć wszelkie ślady polskości. Wierzymy jednak, że żadna siła nie potrafi na długo oderwać polskiego Lwowa i Wilna od Rzeczypospolitej.

Pod presją wroga wykształciło się w szerokich masach polskiego społeczeństwa w kraju poczucie solidarności narodowej. Znikły podziały klasowe i różnice społeczno-gospodarcze, wzrosła się spójność wewnętrzna, pogłębiła świadomość narodowa.

Zarówno nominacja sowieckiego marszałka Rokossowskiego na ministra obrony narodowej, która pieczętuje zwycięstwo nad nadzór sowiecki w sferach dziedziny życia państwowego w Polsce, jak i czystki w partii komu-

nistycznej świadczą o tym, że powstają ciągle gniazda oporu przeciw sowieckiej dyktaturze, które na gwałt trzeba likwidować. Trwa w kraju głucha, zażarta walka o utrzymanie odrębności narodowej. Nie można jednak i nie trzeba wzniesć dziś walki otwartej, zbyt kosztownej a mało skutecznej. Kraj czeka odsieczy z Zachodu, nas uważa za swą integralną część i przedłużenie niejako swego istnienia poza granicami Polski. Od nas wymaga stałego wysiłku i działania na rzecz wyzwolenia go z niewoli.

Tymczasem emigracja spiera się między sobą, spiera o drobiazgi, zamiast siły swe zjednoczyć i całą energię skierować ku ratowaniu kraju z potopu.

Obok akcji na gruncie międzynarodowym zadaniem Rady Politycznej będzie uporządkowanie stosunków wewnętrznych polskich.

Stronnictwo Narodowe stało twarde na gruncie ciągłości prawnej państwa polskiego i nigdy od tej zasady nie odchodziło. Uważamy natomiast, że konstytucję stosować należy zgodnie z zobowiązaniami Prezydenta z r. 1939 i praktyką, jaka się wyrobiła w ciągu lat wojennych. Skoro w r. 1939, choć świeża była tradycja państwowa polska, nie można było stosować konstytucji tak, jak w r. 1935, i Prezydent zgodził się ograniczyć swe uprawnienia na rzecz rządu, złożonego z przedstawicieli głównych ruchów politycznych, to jakże dziś w r. 1949, kiedy nie mamy wojska, skarbu ani gruntu pod nogami, kiedy utraciliśmy niepodległość, można próbować „rządzić” tak, jak za dobrych czasów Roku Pańskiego 1935, rządzić w sposób samowładny, bez istotnej kontroli politycznej i bez wpływu stronnictw, które są łącznikiem z krajem i z natury swojej powołane są do udziału w życiu politycznym.

Stąd konieczność przywrócenia tego porządku prawnokonstytucyjnego, który został naruszony w kwietniu r. 1949. Jest dziś dobra sposobność naprawienia zwichniętej równowagi i oparcia ustroju naszego o żywe siły polityczne, a nie tylko o puste deklaracje i uchwały. Kurczowe trzymanie się bezdusznego formalizmu będzie pogłębiało rozdział między Polakami i ostatecznie podkopało samą zasadę legalizmu.

Jesteśmy również przeciwni koncepcji rządu czy reprezentacji politycznej polskiej, opartej wyłącznie na emigracji. Przekreślano by to ogólnonarodowy charakter tej reprezentacji i nadałoby jej piętno organizacji czysto emigracyjnej, dając doskonały atut naszym wrogom. Niefortunnym tym pomysłem przeciwstawiliśmy postulat rządu opartego o związane z krajem stronnictwa, rządu złożonego z przedstawicieli głównych ruchów politycznych. Brak takiego rządu narzuca konieczność stosowania innych metod.

I tak podnoszą się histeryczne głosy, że wystąpiliśmy wobec ambasadorów amerykańskich z memoriałem w sprawie polskiej: jak można było składać memoriał obcemu mocarstwu, dlaczego nie uzgodniono tekstu z rządem? Mamy tu przykład pomieszania pojęć. Rozumuje się tak, jak przed piętnastu laty, kiedy istniał i normalnie działał uznawany przez obce państwa rząd i kiedy nie trzeba było walczyć o niepodległość. Dziś nie mamy państwa, rząd nie jest uznawany przez wielkie mocarstwa, a trzeba na gruncie międzynarodowym przedstawiać polski punkt widzenia przy każdej nadarzającej się sposobności. Będziemy więc propagowali sprawę polską wobec obcych, co nie jest równoznaczne z rokowaniami dyplomatycznymi i polityką zagraniczną sensu stricto, bo po to zostaliśmy za granicą i kraj nie darowałaby nam bezczynności. A świętoszkom, którzy mówią: wolno składać memoriały, ale tylko uzgodnione z rządem, odpowiadamy: trzeba stworzyć rząd, z którym stronnictwa polskie będą mogły mówić. Ale jeżeli powołuje się rząd, który stoi na stanowisku walki ze stronnictwami, a potem wymaga się od tych stronnictw, aby z nim uzgadniały akcję międzynarodową, to coś tu nie jest w porządku. Jedyne rządy, o party o stronnictwa i reprezentacja polityczna wyłoniona przez niezależne ruchy polityczne, mogą skutecznie działać na gruncie międzynarodowym i przemawiać z potrzebnym autorytetem imieniem nie emigracji, ale kraju, imieniem całego narodu polskiego, a nie tylko jego małej części.

Powołanie do życia Rady Politycznej, którą utworzył przed chwilą doświadczony w długoletniej walce o Polskę przywódca polskich socjalistów Prezes Tomasz Arciszewski, jest pier-

wszym krokiem w kierunku zjednoczenia polskich sił na obczyźnie. Jesteśmy przekonani, że Rada powiększy się o nowe grupy polityczne. Idea zjednoczenia bowiem toruje sobie powoli, ale pewnie, drogę w umysłach polskich.

Czerpiemy siłę moralną z tysiącletnich dziejów naszych i idziemy w przyszłość wierząc, że pracą naszą służymy Narodowi Polskiemu.

Przemówienie przedstawiciela NID

Po przemówieniu prezesa Bieleckiego przewodniczący udzielił głosu p. Rowmundowi Piłsudskiemu, przedstawicielowi NID'u. Zarysowawszy przyczyny powstania Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja“ nazajutrz po klęsce jaltańskiej oraz zasadnicze cele i charakter swego ruchu, przeszedł on następnie do określenia celów, jakie jego zdaniem stoją przed Radą Polityczną. W dziedzinie międzynarodowej należy sprawę polską ustawić w szerszej płaszczyźnie międzynarodowej. Szczególną wagę należy położyć na jak najściślejszą współpracę z narodami zamieszkującymi ten sam rejon Europy między Niemcami a Rosją. Równocześnie należy jak najintensywniej współpracować z organizacjami politycznymi na Zachodzie, które stawiają sobie za cel wyzwolenie i zjednoczenie Europy. Koncentrując się na walce o uwolnienie Polski spod jarzma sowieckiego, nie należy tracić z oczu ponownie wzrastającej groźby niemieckiej i działać w świetle zachodnim w kierunku zmniejszenia tego niebezpieczeństwa. Najważniejszym jednak zabezpieczeniem przed agresją niemiecką jest unia narodów środkowo-wschodniej Europy. Należy również przedstawić światu zachodniemu, że granica na Odrze i Nisie jest nie tylko sprawą Polski i innych krajów środkowej Europy, ale także sprawą bezpieczeństwa wszystkich narodów europejskich. Trzeba uświadomić opinię publiczną na Zachodzie, że naród polski nie jest odpowiedzialny za akty dokonywane rzekomo w jego imieniu przez narzucony mu rząd komunistyczny. W kraju zaszły głębokie zmiany zarówno psychiczne jak i społeczne, toteż nie ma powrotu, i nikt go nie chce, do Polski przedwojennej. Zrzucenie jarzma sowieckiego nie oznacza przywrócenia dawniej istniejących stosunków, ale prawdziwą reformę zniekształconych reform dokonanych przez reżym. Trzy są więc cele generalne: a) dokonanie pełnego zjednoczenia wszystkich polskich ruchów stojących na gruncie niepodległości i demokracji; b) utworzenie silnego ośrodka legalnej władzy polskiej uwolnionej z rąk mafijnych; c) pokierowanie inicjatywą wszystkich Polaków rozrzuconych po świecie w kierunku jednolitej akcji politycznej na rzecz sprawy polskiej.

Przemówienie przedstawiciela PPS

Jako ostatni przemawiał p. Zaremba imieniem Polskiej Partii Socjalistycznej, który powiedział m. in.:

Szukaliśmy na różnych drogach znalezienia formy nadającej się do

zogniskowania sił reprezentowanych przez polskie stronnictwa na uchodźstwie.

Rada Polityczna nie jest wynikiem ani kompromisu ideowego, ani owcem politycznej ugody między stronnictwami. Ma jednak określoną podstawę polityczną — to, co wspólne jest prawie wszystkim stronnictwom polskim na emigracji.

Nieuznawanie rozbioru 1939 r., dążenie do odbudowy państwa niepodległego i demokratycznego, oparcie organizacji politycznej polskiego uchodźstwa na zasadzie ciągłości organów państwa polskiego, które działać musiało w czasie wojny poza krajem i działać winno dalej wobec niewoli narodu polskiego.

Wybraliśmy tę formę Rady Politycznej, quasi parlamentu, którego ukształtowanie wobec braku wolnych wyborów musiało być pozostawione dobrej woli stronnictw i kierunków politycznych. W tych ramach chcemy skonsolidować siły polityczne polskie, wzmocnić ich promieniowanie na zewnątrz i wykuwać naszą wspólną myśl polityczną na przyszłość, nawiązując do całego bohaterstwa okresu wojny i okupacji.

Do czasów przedwrzesniowych nie wrocimy nigdy i wrócić nie chcemy. Drogę wstecz zamykają nie tylko pogorzeliśka wojenne, lecz bardziej jeszcze przeobrażenia struktury demograficznej, gospodarczej i społecznej oraz przeobrażenia myśli i świadomości mas polskich. Tym przeobrażeniom dały wyraz uchwały programowe Rady Jedności Narodowej i jakże szczęśliwie, że zostało to dokonane. Dzięki jasnemu wyrazowi woli przez Radę Jedności Narodowej, mimo całej wrogiej propagandy, w świadomości mas polskich zostało, iż ani reforma rolna, ani usunięcie wyzysku wielkiego kapitału, nie zostało przyniesione na obcych bagnietach, ale jest wynikiem dojrzałości myśli i stosunków społecznych narodu polskiego. Przez to też dzisiejszy krzyk marionetek sowieckich o reakcji społecznej, która jakoby kryje się w oporze narodu przeciw sowietyzacji kraju, jest bez treści dla każdego Polaka. Ale kierunek rozwoju tak wyraźnie wyznaczony w czasach okupacji został zwichnięty przez wkroczenie sił obcych, dyktatury komunistycznej.

Nasze zwycięstwo, nasze wyzwolenie narodowe i stworzenie warunków postępu i dobrobytu mas wiąże się nierozdzielnie ze zwycięstwem demokracji i postępu społecznego na całym świecie. Chcemy też wiązać nasz wysiłek ku wyzwoleniu Polski i uwolnieniu polskich mas pracujących z totalitarnej niewoli komunistycznej ze zwycięstwem demokracji światowej.

• • •

Zamykając zebranie prezes Arciszewski wyraził nadzieję rozszerzenia się Rady na dalsze stronnictwa i ugrupowania i złożył jej członkom życzenia najlepszych świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

Na wezwanie przewodniczącego wszyscy obecni powstałi i z kilkuset ust popłynął Hymn Narodowy.

O terminie następnego posiedzenia Rady zadecyduje Prezydium. Spodzie-

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

ZGON JANA MATYASIKA

W chwili składania niniejszego numeru doszła nas z Paryża wiadomość o nagłym zgonie w czasie świąt zasłużonego pisarza, redaktora „Placówki“ a dawniej krakowskiego „Głosu Narodu“ i lwowskiego „Słowa Narodowego“ ś.p. Jana Matyasika. Nadzarczynięte pobyt w niemieckim obozie koncentracyjnym zdrowie zawiodło. Zmarły pracował do ostatniej chwili i jeszcze w świątecznym numerze „Placówki“ ukazał się Jego świętyn artykuł, syntetycznie omawiający przemiany pierwszej połowy dwudziestego wieku. W jednym z najbliższych numerów zamieścimy obszerniejsze wspomnienie o ś.p. Matyasiku.

wać się go należy w początkach stycznia. Na posiedzeniu tym przyjęty będzie stały regulamin Rady.

BEZ PYTANIA O ZGODĘ

W związku z ogłoszonym w prasie wyborem przez Radę Narodową na członka Głównej Komisji Skarbu Narodowego, prezes Tadeusz Bielecki wysłał do p. Tytusa Filipowicza pismo treści następującej:

„Szanowny Panie Ambasadorze,
Ze zdziwieniem równocześnie niemal z pismem Pańskim znalazłem w „Dzienniku Polskim“ wiadomość o powołaniu mnie w skład Głównej Komisji Skarbu Narodowego. Stwierdzam, że ani nie byłem pytany o zgodę przed wyborem ani nie wyraziłem jej przed ogłoszeniem nazwiska mego w prasie.

Doceniając potrzebę „zapewnienia władzom Rzeczypospolitej niezbednych środków materialnych na prowadzenie niezależnej akcji“, uważam, że dokonane to być może z powodzeniem jedynie w razie przywrócenia ustalonego po roku 1939 porządku prawnopolitycznego. Tylko tą drogą pozyskać będzie można zaufanie społeczeństwa w stosunku do instytucji Skarbu Narodowego.

Wobec powyższego nie mogę — w obecnych warunkach — wejść w skład Komisji Skarbu Narodowego“.

CIAŁO NAJBARDZIEJ REPREZENTATYWNE

Redakcja nowojorskiego „Nowego Świata“ zwróciła się do dwóch członków naczelnych władz Polskiego Stronnictwa Ludowego pp. Bagińskiego i Korbońskiego z zapytaniem, jaki jest ich stosunek do powołanej ostatnio Rady Politycznej. „Nowy Świat“ pisze na ten temat co następuje:

„Po ukazaniu się komunikatu o powstaniu Rady Politycznej, utworzonej przez PPS, Polski Ruch Wolnościowy NID oraz Stronnictwo Narodowe w Londynie, redakcja „Nowego Świata“ zwróciła się w niedzielę, 11 grudnia, do panów: wiceprezesa PSL Kazimierza Bagińskiego i członka NKW PSL mec. Stefara Korbońskiego z zapytaniem o stosunek do powstałej Rady, na co redakcja otrzymała następującą odpowiedź:

„W ogłoszonych artykułach i wewnątrz naszego stronnictwa dawaliśmy nieraz wyraz naszemu przekonaniu, że powstanie jednolitej reprezentacji, obejmującej wszystkie demokratyczne siły, mające prawo reprezentować kraj, jest najpilniejszą koniecznością. Towarzyszy jej także potrzeba utrzymania nieprzerwanej ciągłości państwowości polskiej. W powstałej Radzie Politycznej widzimy ciało w obecnych warunkach najbardziej reprezentatywne, zasługujące na współpracę i poparcie. Mamy nadzieję, że przystąpią do niego także inne stronnictwa, co pozwoli na pełne zrealizowanie koncepcji Jedności Narodowej. Jako członkowie naczelnych władz PSL robimy wszystko co można, by nasze stronnictwo znalazło się także w Radzie Politycznej i mamy nadzieję, że to w przyszłości nastąpi“.

WSPÓLNY OŚRODEK

Zbliżone sympatiami do PSL sztokholmskie „Wiadomości Polskie“ za-

mieszczają następujące uwagi na temat powstania Rady Politycznej:

„Powołanie Rady Politycznej to wynik dłuższego rozwoju wydarzeń i przypieczętowanie stanu rzeczy, już właściwie istniejącego de facto. Od paru lat obowiązkowi reprezentowania interesów Polski na zewnątrz przejęły stronnictwa polityczne i tylko one miały możność przedstawienia polskiej racji stanu mocarstwom, jak również dotarcia do centrów polityki światowej. Rząd londyński wskutek różnych przyczyn, z których nienajmniejszą były i własne błędy, znalazł się w izolacji. Międzynarodowa akcja Mikołajczyka, podrój polityczna Bieleckiego do St. Zjednoczonych świadczą o tym najmówniej.

Logiczne więc stało się uzgodnienie i połączenie tych wysiłków stronnictw i stworzenie wspólnego ośrodka. Rada Polityczna nie ma charakteru jakiegokolwiek bloku politycznego partii czy porozumienia stronnictw w tradycyjnym znaczeniu. Rada Polityczna oznacza przyjęcie wspólnych ram prawnopolitycznych dla działalności zewnętrznej zarówno w kierowaniu sprawą polską na emigracji, jak w ułożeniu współpracy w przyszłej Polsce“.

„Trzeba przyznać, że zespół osobistości w Radzie Politycznej zapowiada się b. reprezentacyjnie: Arciszewski, nestor polskiego socjalizmu, wyznaczony przez parlament podziemny na Prezydenta Rzplitej, Bielecki, Berzowski z SN, których postaci mają dla kraju i uchodźstwa duży ciężar gatunkowy, gen. Bór, którego nazwisko niesie z sobą aurytetyt Armii Krajowej i wreszcie amb. Raczyński, jedyny bodaj polityk polski mający dostęp do oficjalnych sfer brytyjskich i cieszący się tam dużym zaufaniem. Nie jest wykluczone, przystąpienie do Rady Stronnictwa Pracy. Wreszcie NiD, młody ruch polityczny powstały już na emigracji, wprowadza do Rady czynnik dynamizmu, szukania nowych dróg i nowych rozwiązań, opartych na zachodnich doświadczeniach z lat ostatnich.

Należy mieć nadzieję, że pozostawanie poza Radą P. S. Ludowego (złączonego zresztą porozumieniem wewnętrznym z PPS) nie będzie długotrwałe, tym bardziej że przeszkoda, która tę nieobecność spowodowała, tj. stosunek do konstytucji marcowej ma w gruncie rzeczy charakter formalny.“

„RZECZ NAPRAWDĘ WIELKA“

Powstanie Rady Politycznej wywołało dziwnie małą radość w pismach takich jak „Orzeł Biały“ czy „Lwów i Wilno“, które zawsze przeciw zyczyły sobie porozumienia stronnictw uznających ciągłość prawną państwa. Ograniczyły się one do podobnych w treści artykułków o tym, że p. Ciołkosz rzekomo uważa NiD za niepoważny i że cała Rada ma znaczenie tylko... kasowe. Skoro więc nie interesującego nie możemy znaleźć w bieżących numerach tych pism, zadowolić się musimy tym, co pisały dawniej.

„Lwów i Wilno“ w dniu 29 czerwca 1947 r. ubolewało nad tym, że „nastąpiło rozbiście koalicji narodowych z socjalistami, która była... symbolem, a nawet więcej niż symbolem, bo dowodem jedności narodowej“ i niepokoiło się, że „są także tacy, którzy uważają, że partie tak dalece zawiody, że Pre-

zydent powinien powołać rząd prezydencki“. Pismo oczywiście tego stanowiska nie podzielało i rozwijało swoją koncepcję w numerze z 14.9.47: „Jedynym możliwym realnie sposobem uczynienia z naszego rządu reprezentacji wszystkich Polaków, jest oparcie go na dwóch skrajnych naszych partiach politycznych, to jest na stronnictwach narodowym i socjalistycznym. Połączenie tych dwóch skrajnie od siebie odległych, zawsze siebie zwalczających stronnictw w jednym rządzie, to, w polskich stosunkach, najsilniejszy wyraz jedności narodowej. A rząd na emigracji nie wyrażający jedności narodowej mija się ze swoim powołaniem“.

Szczególną wagę przywiązywała redakcja „Lwowa i Wilna“ do roli Stronnictwa Narodowego. W numerze z 21. 9.47 czytamy: „...działa najsprawniej Stronnictwo Narodowe. Przeszło przez burze wojenne z całym i twardym kościem paclerzowym, ocaliło szkielet swej organizacji. Bronią swoich ideałów konsekwentnie, posiada ludzi, posiada wiarę i zapał, posiada młodzież. W naszych warunkach emigracyjnych jest niewątpliwie stronnictwem o sile największej“.

Toteż w numerze z 25.4.48 pomysły pominięcia partii politycznych są skrytykowane: „Rząd „prezydencki“, urzędniczy byłby połączony z ciągłym wystawianiem na sztych osoby samego Prezydenta“ a dalej: „Słusznie czy niesłusznie, ale tak już jest w Polsce, że o ile znajdują się w rządzie polskim dwa stronnictwa: narodowe i socjalistyczne, to każdy Polak będzie uważał taki rząd za najbardziej pełny wyraz jedności narodowej“. Inne rozwiązania nie mogą być trwałe ani skuteczne: „Główna słabość naszej emigracji politycznej polega na tym, że nie ma ona dotychczas żadnej koncepcji politycznej. Do tej stworzenia przystąpić będziemy mogli dopiero wtedy, gdy będziemy mieli rząd stały a nie prowizoryczny i to składający się z narodowców i socjalistów“.

Stąd konieczność porozumienia tych dwóch stronnictw. „Lwów i Wilno“ pragnie więc w numerze z 19.12.48 „wyrazić przed świętami nadzieję, że nasze partie polityczne zdobędą się na rzecz naprawdę wielką i dobrze zasłużą się Ojczyźnie osłagając jedność między sobą, izolując agentów i postępując w myśl słow p. Bieleckiego będą nieprzejednanymi tam, gdzie chodzi o interes Polski a ustępliwymi i wyrozumiałymi, gdzie chodzi o ambicje osobiste i drobniactwa“.

Zdawało się w pewnym momencie redakcji tygodnika, że taki program jest bliski urzeczywistnienia. „Odbywają się konferencje p. Bieleckiego z p. Kwapińskim. Gdyby były one owocne, Mikołajczyk nie miałby w ogóle żadnej możliwości szkodenia na emigracji, byłby zupełnym zerem. Sprawa polska byłaby pochłonięta wybitnie naprzód, niebezpieczeństwo agentur, rozbijackich komitetów narodowych byłoby wyeliminowane.“

Pismo szczerze ubolewa nad niepowodzeniem tych rozmów i w numerze z 13.3.49 znowu domaga się rządu opartego na narodowcach i socjalistach. „Osiągnęlibyśmy w ten sposób pełnię jedności narodowej, bo nikt w kraju ani za granicą nie powodziłby o gabinetie mianowanym przez czynnik reprezentujący legalną filiację władzy Rzeczypospolitej spośród

TRADYCYJNY OPŁATEK

odbędzie się dnia 7 stycznia (sobota) 1950 r. o godz. 19.30 w lokalu Samopomocy Lotniczej, 14, Collingham Gardens, S.W.5

Członkowie Stronnictwa przebywający w Londynie otrzymają osobne zawiadomienia
STRONNICTWO NARODOWE

Stronnictwa Narodowego i PPS, że to nie jest najzupełniejszy wyraz jedności narodowej... Niestety do porozumienia narodowców z socjalistami nie doszło, zbawenna ta koncepcja zrealizowana nie została."

Na tle kryzysu po dymisji rządu Komorowskiego „Lwów i Wilno“ raz jeszcze powtarza swój „postulat, aby rząd opierał się na dwóch najstarszych a może i największych stronnictwach polskich — Narodowym i Socjalistycznym — jak na dwóch klamrach z obu stron zamykających zróżniczkowanie

wewnętrzne emigracyjnego społeczeństwa. Kto i w jakim celu wymanewrował te koncepcje rządową wiosną roku ubiegłego — nie nasza jest rzeczą dociekać“.

I w dniu 1.5.49 pismo to chce zachować „możność powrotu do udziału w rządzie dwu historycznym stronnictwom polskim to jest Stronnictwu Narodowemu i PPS“... „Toteż należy pamiętać — pisze — że wciąż aktualne jest ostatnie zdanie listu Pana Prezydenta do premiera Tomaszewskiego, że jak tylko stronnictwa uzgodnią

między sobą program utworzenia rządu, władza będzie takiemu rządowi przekazana bezzwłocznie.“

JESZCZE O RUCHU EUROPEJSKIM

W uzupełnieniu notatki pt. „Z Ruchu Europejskiego“ zamieszczonej w poprzednim numerze „Myśli Polskiej“ podajemy, że p. T. Bielecki nie jest członkiem Sekcji Europy Środkowo-Wschodniej Ruchu Europejskiego a w posiedzeniu jej z dn. 2 grudnia brał udział jako gość zaproszony przez przewodniczącego tej sekcji postać Harolda Macmillana.

Jak wiadomo, Stronnictwo Narodowe stoi na stanowisku powołania grupy polskiej Ruchu Europejskiego, która by delegowała swych przedstawicieli do władz tej organizacji.

JÓZEF PŁOSKI

CHARAKTER W POLITYCE

Uwagi w rocznicę zgonu Romana Dmowskiego

ROZCZNICA zgonu Romana Dmowskiego pozostanie niezapomniana, dopóki będą żyć pokolenia, które się z nim stykały i znajdowały się w kręgu tego silnego wrażenia, jakie wywierał na bliskich i obcych.

Czar Dmowskiego trudny jest do zdefiniowania; jak zwykle odczuwany różnie; pewne jest tylko, że działał na wielu, był długotrwały. Rozmowy z Dmowskim wspomniane są po latach całych z wyraznym akcentem uznania. Czynniki to zarówno głęboki i oryginalny filozof katolicki Anglii, G. K. Chesterton (łączyło go z Dmowskim zrozumienie doniosłości katolicyzmu), jak człowiek o sławie masońska, Edward Benes, który otwarcie przyznaje, że był Dmowskim oczarowany (choć jednego nie mógł zrozumieć, dlaczego ten polityk o sławie moskalofila, jako najpiękniejszego dnia swego życia oczekuje rozpadu imperium rosyjskiego). Jakaś studentka amerykańska, zwiedzająca Polskę, zajrawszy do Kosowa, nie krajowi a Dmowskiemu poświęciła entuzjastyczny artykuł w „National Geographic Magazine“ (1937).

Wydaje się, że Dmowski czarował przede wszystkim swoją głęboką mądrością. Jeden z doktorów filozofii zauważył ostatnio, iż przyczyną małej stosunkowo popularności Dmowskiego w kołach urzędniczej inteligencji polskiej dopatruje się w tej właśnie mądrości. Zapewne nie dlatego, aby ów doktor ocenił zbyt krytycznie poziom inteligencji naszych cenzusowców, ale dlatego, że tak wysoko stawiał rozum Dmowskiego. Z tym się można zgodzić.

Już w czasie konferencji paryskiej rzuciło się w oczy obserwatorom, nie tylko polskim, ale i obcym (Piltz, Dillon, Recke), że delegat polski góruje nad innymi znajomością świata i zdolnościami dyplomatycznymi, pozwalającymi mu nie tylko wykorzystywać pomysły dla Polski okoliczności, lecz również je stwarzać, a poza tym odznacza się wiedzą, jakiej nie miał chyba żaden inny z delegatów. Nawet najzaciętszy przeciwnik polskich dążeń,

niemal osobisty wróg Dmowskiego, premier brytyjski Lloyd George, wspomina o nim jako o niezwykle kulturalnym i zdolnym Polaku.

A nasi rodzimi obskuranci powtarzają, że Dmowski „wypraszał“ łaski u możnych. Dla polityków mają oni zawsze w zanadrzu słowa pogardliwe, nie zastanawiając się, że polityka nie może być tak prostacka, jak sobie wyobrażali służąc jeszcze w wojsku. Dmowski prowadził swoją politykę według zasad przyjętych między ludźmi cywilizowanymi. Prowadził ją wszakże w bardziej, niż dzisiaj w epoce dyletantyzmu dyplomatycznego, systematyczny sposób. Nie była ona prowadzona łamańcami, zaskakiwaniem, zmienianiem frontów. Po piśmiech Dmowskiego widać, jak długo przetrwał jakiś problem, zanim powziął ostateczną decyzję. Raz jednak powziętą wykonywał z siłą woli, której ani napaści osobiste, ani trudności różnorakie nie zdołały osłabić. Dmowski każde swoje wystąpienie w sprawach polskich starannie przygotowywał, badał teren i opory, przenikał ludzi i koła wpływowo, nastawiał polityków krajowych na pożądany ton, a potem legitymował tym Polskę przed światem, znajdując dostateczny odzew w narodzie. Pod tym względem był niewątpliwie jednym z najbardziej demokratycznych polityków w Polsce, że zawsze dbał, by jego polityka była rozumiana przez koła myślące. Ostatecznie ta metoda okazała się słuszną, bo był twórcą triumfu wersalskiego Polski. Tylko nieliczeniu się z rzeczywistością historyczną można przypisać „przyganianie“ mu, że nie osiągnął granicy na Odrze lub tym podobne zarzuty. Przytaczanie, że ktoś, gdzieś chciał tego, bez powołania się, co konkretnie w tym kierunku przedsięwziął, jest nieprawdę.

Dmowskiemu zresztą obca była wszelka donkiszoteria, stawianie maksymalnych celów przy minimalnych możliwościach i woli ich zrealizowania, bicie pięścią w stół (co zwykle tylko ośmiesza polityków), wszelkie

bluffowanie. I to zapewne jest punktem obrazu dla niektórych publicystów, którzy znają tylko dwa sposoby politykowania: wymysły lub stawianie na możliwych.

Druga cecha, która uderzała w Dmowskim, to jego wielkie poczucie odpowiedzialności. Ono i tylko ono, nie zamierzanie polityczne, kazało mu całe swe życie poświęcić sprawie polskiej. Dmowski był zdania, że gdyby żył w Polsce wolnej, nie potrzebując jego usług, poświęcił by się nauce. Trzeba jednak zaznaczyć, że władzy, ani polityki nie traktował jako „zła koniecznego“. Przeciwnie, uważał, że to dziedzina wymagająca dużego charakteru i dlatego właśnie godna człowieka.

Oto słowa, wypowiedziane przez niego 11 czerwca 1923 r. w Poznaniu przy wręczaniu mu dyplomu doktora filozofii honoris causa, słowa, nad którymi powinni zastanowić się nasi domorośli wyklincze „nieprawości polityków“.

„O polityce się mówi, że ludzi znieprawia. Tak, bardzo często. Ten, kto wchodzi do niej z ubogimi zasadami moralnymi, kto zagadnień moralnych nie umie rozważać, lub jest zbyt leniwy, by się nad nimi zastanawiać, traci nawet to niewiele, z którym przyszedł. Bo zagadnienia moralne, które życie polityczne przed ludźmi stawia, są tak często zawile, tak wysokiego rzędu, że dla sprostanania im trzeba mocnej podstawy nie byle jakiego sumienia i nie byle jakiego wysiłku myśli. Bez tego ludzie nie umieją im dać rady, omijają je, tracą ster, tracą miarę złego i dobrego. W wyniku ostatecznym zaciera się różnica między czynem politycznym, a pospolitą zbrodnią.“

„Temu wszakże, kto mocno zrosnięty jest z ziemią ojczystą, związany mocno w duszę sięgającymi więzami z jej przeszłością, kto na tym oparte ma poczucie odpowiedzialności, nie tej łatwej odpowiedzialności przed zgromadzeniem współczesnych, ale tej surowej, boleśnie umiędzącej zatargać su-

mieniem, odpowiedzialności przed pokoleniami narodu, kto nie boi się wysiłku myśli, by na każde najtrudniejsze nawet zagadnienie moralne znaleźć w swym sumieniu odpowiedź, temu polityka daje taką możność pogłębiania się, jak żadna inna dziedziina działalności ludzkiej. Uwalnia go ona nawet od najtrudniejszej do leczenia, bo eudemicznie panującej dziś choroby, próżności, pyszałkowości, wmawiania w siebie, że jest się osiłą, dokoła której wszystko się obraca."

Otóż właśnie dalszą cechą Dmowskiego była samodzielnność jego myśli. Nie ta łatwa, wyrażająca się w gonieniu za nowością, za ekscentrycznością. Dmowski sam przyznawał, że na wiele spraw polskich nauczył go patrzeć Popławski. Ale Dmowski wszystkie te rzeczy przetrawił, doposażał je do zmiennej rzeczywistości, nie tracąc z oczu niezmiennych linii rozwojowych historii. Dmowski, będąc pisarzem o stylu jasnym, prostym, zwięzłym, jest jednocześnie jednym z najoryginalniejszych pisarzy politycznych doby obecnej.

Kiedy już mowa o naszych czasach, to chciałyby się zauważyć, dość banalnie, że autoreklama w polityce nie razi dziś tak, jak raziła jeszcze niedawno. Dmowski, który bynajmniej nie był skromny i znał swoją wartość, miał jednak ten staroświecki umiar w wysuwaniu na front swojej osoby. Proszę porównać jego „Politykę polską i odbudowanie państwa“ z rzeczą jej współczesną, „Rokiem 1920“ Piłsudskiego, by stwierdzić, jak rzadko

Dmowski używa pierwszej osoby, „ja“. W Dmowskim było coś z wielkiego pana, który z pobieżnym uśmiechem puszcza mimo uszu pochlebstwa i gładkie słowa, jakimi niektórzy zachodni politycy tak łatwo kupują sobie bardziej naiwnych polityków. Nie miał też parweniuzowskiego kompleksu niższości.

Publicysta francuski, Maurice Perrot, pisał: „Dmowski wyszedł z ludu i stał się przywódcą partii niemal konserwatywnej; człowiek to rozsądny, silnej woli, ironiczny i nieco „na dystans“; zbyt arystokratyczny, być może, aby stać się kiedykolwiek całkowicie popularnym“ („Epreuve de la Pologne“, Paryż, 1923).

Zauważona przez Pernota „ironiczność“ Dmowskiego wyrażała się czasem w złośliwych powiedzeniach. Cięte epitety, jak np. dany sztandarowo-katolickiemu profesorowi historii, cieszącemu się wielkim powodzeniem w Ameryce, że to „mason odkomenderowany do katolicyzmu“, dochodziły szybko do zainteresowanych, przysparzając Dmowskiemu niechętnych.

Wreszcie co imponowało w zetknięciu z Dmowskim, to jego łicie renesansowa wszechstronność zainteresowań. A do tego jeszcze umiał mówić ciekawie, co nie każdemu mądrym człowiekowi się zdarza. Choć nie przerzywał rozmowy, pierwszeństwo mowy szybko przechodziło na niego. Nienawidził frazesów, młócenia pustej słomy, banałów (zwierzał się kiedyś, że to go odstrasza od niektórych kaznodziejów). Lubiał rozmawiać z mło-

dymi, ustawiając ich pojęcia, żądając samodzielnej myśli.

Ten człowiek czytał wiele, ale ważniejsze, że czytywał uważnie. Warto jednak przypomnieć, że prawie nigdy nie używał cytata, powoływania się na czyjeś zdanie. Czytywał dzieła w oryginale, na co pozwalała mu jego doskonała znajomość szeregu języków. (Ciekawe, że F. A. Voigt w swej najnowszej książce „Pax Britannica“ omawiając talenty Dmowskiego pominał w wyliczaniu doskonałą znajomość angielszczyzny, która tak uderzyła Lloyd Georga.) To mu dawało możność zgłębiania mentalności innych narodowości w najbardziej bezpośredni sposób.

A przy nawale prac, w toku zwycięskiej bitwy o sprawę polską, Dmowski umiał znaleźć chwilę na rozważania, szukające sensu wszechrzeczy.

Prof. Bohdan Wasutyński wspomina: „Gdy miał parę godzin wolnych, zabierał mnie na przejażdżkę samochodem, prowadzonym przez hallerczyka, za miasto, najczęściej do obszernych lasów pod Saint Cloud i w szybkim marszu robiliśmy długie kilometry piechotą. Ale dla odpoczynku rozmawiał dużo, tylko nie o polityce bieżącej, bodaj najwięcej mówił o istocie społeczeństwa“ („Warszawski Dziennik Narodowy“, 1939).

Na jedno tylko Roman Dmowski nie znalazł czasu. Choć w przełomowych dniach paryskich kochał się w jednej z Polek, zrezygnował ze związku z nią, by móc się całkowicie oddać sprawie. Rodziną pozostał mu naród.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

LISTY O LUDZIACH 3)

OD JASKINI DO LABIRYNTU

Bibliopolis, grudzień 49

Drogi Czytelniku,

Zwolna, jak mogłeś się z poprzednich listów zorientować, zabierałem się do napisania o genealogii cywilizacji. Nielatwa to jest rzecz, zwłaszcza gdy bezpośrednio pobudką jest dzieło złożone z sześciu wielkich tomów już wydanych a jeszcze kilku zapowiedzianych, traktujące o omnibus rebus et quibusdam aliis. Trudno o nim jednak nie napisać, skoro autor, pan Arnold Joseph Toynbee, został przez publiczność anglosaską uznany za autorytet, niemal za proroka.

Wydaje mi się, że stało się to dlatego, iż jest bardzo charakterystycznym przedstawicielem umysłowości typowej dla starszego pokolenia Anglików i Amerykanów angielskiego pochodzenia. Zresztą jego słowa, w rzeczywistości, nie opiera się na sześciu wielkich tomach „Studium historii“ ale na jednotomowym skrócie, jaki z nich zrobił, za zgodą autora, jeden z amerykańskich jego wielbicieli. Amerykanie w dziedzinie ducha mają takie same wymagania jak w dziedzinie materii: chcą mieć „the real stuff“, coś solidnego i praktycznego, jednolitego i standaryzowanego za możliwie najtańszą cenę, przy czym w cenę wlicza się czas. Amerykanin o pewnych ambicjach umysłowych nie chce tracić czasu na studia laboratoryjne nie w swoim fachu, nie chce czytać różnych książek o róż-

nych problemach historycznych i cywilizacyjnych. Tę robotę niech spełnią specjaliści a jemu dadzą gotowy produkt zawierający ekstrakt całości danej nauki, nie przeciążony technikalą a dający pojęcie o całości. Amerykanin, poświęcający się, powiedzmy, fabrykowaniu wody sodowej, przeczyta po jednej książce z filozofii, medycyny, historii, prawa, fizyki i jeszcze paru nauk i będzie miał poczucie, że jest wykształcony, że wie, gdzie nowoczesna wiedza stoi i jaki to ma związek z jego życiem. Dzięki Toynbeemu, za umiarkowaną cenę w jednym tomie ma całą historię ludzkości wraz z prawami nią rządzącymi i porównaniem do czasów dzisiejszych. Uznał „Study in History“ za najlepszy produkt najlepszej firmy naukowej i wobec tego uważa za swój obowiązek używać tego specyfiku.

Ale zamiast pisać o treści, piszę o autorze. Jak jednak oddzielić autora od dzieła, kiedy się pisze o zagadnieniach człowieka? Więc już będę brnął: Toynbee ma lat sześćdziesiąt. Czy jest uczonym? Co za dziwne pytanie w odniesieniu do autora wielkich sześciu tomów i paru innych książek, do profesora Londyńskiej Szkoły Ekonomii! A jednak mam wątpliwości. Zdaje mi się chwila, że historia cywilizacji jest dla Toynbeego tylko „hobby“, tylko sprawą, którą się z pasją i uporem bawi, ale która nie stanowi istoty jego prawdziwego życia. Uczony bowiem jest to człowiek, dla którego

jego studia stanowią życie „serio“ a, dajmy na to, polityka czy sztuka są jego „hobby“. Nie zawsze łatwo jest powiedzieć, co dla kogo jest osnową życia a co „hobby“. Można to poznać czasami tylko po trudnym do określenia tonie stosunku autora do dzieła, po rzetelności z jaką swój przedmiot traktuje albo po tym, co dla czego w jakiej chwili porzuca. Granica może być trudna do uchwycenia, bo „hobby“ może być bardzo poważne, może przekształcić się w osnowę życia, jak np. literatura u lekarza Duhamela czy polityka u lekarza Auriola lub u prawnika Milleranda. Słyszałem kiedyś jak Dmowski mówił, że każdy polityk powinien mieć swoje „hobby“ z polityką nie związane, bo inaczej grozi mu, że zostanie po prostu świnią. Przedmiotem „hobby“ samego Dmowskiego było to samo co jest przedmiotem studiów (a może właśnie „hobby“) Toynbeego, a mianowicie historia cywilizacji, w szczególności cywilizacji starożytnych. Historia cywilizacji starożytnych jest w wysokim stopniu podniecająca, ponieważ zawiera tyle tajemnic i pozwala na tyle wspaniałych hipotez.

...aha! więc mówiłem o tym, że Toynbee ma sześćdziesiąt lat. Pochodzi z rodziny wybitnych intelektualistów. Nosi imiona chrześciane wielkiego działacza socjalnego i wybitnego biologa. Miał w rodzinie także literatów i krytyków sztuki. Naturalne więc, że poszedł na drogę naukową. Ale kiedy

miął dwadzieścia kilka lat wybuchła pierwsza wojna światowa. Znalazł się w Intelligence Department urzędu spraw zagranicznych, pojechał na Bliski Wschód, stamtąd po zakończeniu wojny do Paryża jako specjalista od spraw Środkowego Wschodu w delegacji pokojowej brytyjskiej. Potem objął katedrę języka, literatury i historii Bizancjum i Grecji nowożytnej na Uniwersytecie Londyńskim i dyrekcję badań Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. W drugiej światowej był dyrektorem departamentu badań w urzędzie spraw zagranicznych. Między wojnami odbył podróż po Chinach. Studium historii zaczął wydawać w r. 1934 i ogarnął tematem całe znane dzieje ludzkości, z egzegzą biblijną i oceną wszystkich ważniejszych systemów religijnych świata włącznie. Więc jednak może „hobby“, wielkie i poważne „hobby“?

Z pierwszego rozdziału „Study in History“ wynikałoby, że tej książki nie powinien być pisać. Stawia w niej bowiem podział wiedzy społecznej na trzy typy według kryterium kwantytatywnego: tam gdzie wypadki są niezmiernie częste, jak w prostych przeżyciach ludzkich, tam uchwycić je może tylko sztuka, ucieleśniając je w pewnej ilości postaci. Tam gdzie zjawiska są rzadkie ale powtarzalne, tam pojawia się nauka i na podstawie wymiernej ilości faktów ustala prawidłowości i reguły. Gdzie natomiast fakty pojawiają się zbyt zróżnicowane i zbyt rzadkie, tam jest tylko historia. Wynikałoby z tego, że skoro znamy naprawdę dzieje zaledwie paru cywilizacji, musimy się ograniczyć do historii, bo nie mamy dostatecznego materiału do ustalania praw rządzących rozwojem historycznym cywilizacji. Toynbee jednak uważa inaczej. Ustala dość arbitralnie podział na sześć pracujących (andyjską, majańską, egipską, chińską, sumeryjską i minońską), wyprowadza z nich dwadzieścia kilka dalszych, dołącza dwie „poronione“ i trzy „zatrzymane“ i na tej wątpliwej strukturze rozpina swoje prawa naukowe.

Nie, nie obawiaj się, nie będę próbował zamęczyć Cię streszczeniem wykładu tych praw, a przynajmniej nie w tym liście. Nie opowiem o prawach powstawania, załamania i rozpadu cywilizacji a tym mniej o ostatecznym wniosku w postaci trzy i pół taktowego rytmu dezintegracji („rout-rally, rout-rally, rout-rally, rout“). Chcę natomiast, zanim wreszcie dobiore się do tej genealogii cywilizacji, skończyć z człowiekiem. Autor jest sympatykiem chrześcijaństwa, niewierzącym chrześcijaninem, ma pewne sympatie arianejskie, uważa, że Objawienie następuje równie dobrze przez poezję i mitologię grecką jak przez chrześcijańskie księgi święte ale przyznaje, że Chrystus jest najdoskonalszym typem odrodziciela cywilizacyjnego, przewyższającym Marka Aurelega. Nie sądzę z tego, że w tej książce są same głupstwa, są tam i rzeczy interesujące a nawet mądre z tego zakresu, jak autor miał możliwość poznać, np. o Turkach i Lewancie. Istotną wiarą autora, jego kośćcem moralnym, jest wiara w konieczność walki z przeciwnościami, w charakter, słowem tak typowy dla Anglików urodzonych w okresie późno-wiktoriańskim uszlache-

tniony humanitaryzmem darwinizm sportowo-moralny. A może powiedzieć światopogląd sportowy?

Przekonywająco w oparciu o fakty historyczne rozprawia się Toynbee z determinizmem materialistycznym zarówno w postaci tezy o decydującym wpływie środowiska fizycznego na powstawanie cywilizacji jak i w postaci tezy o decydującym wpływie czynnika rasowego. Wedle niego decydujący jest czynnik psychologiczny: jak dana grupa ludzka reaguje na przeciwności i zagrożenia. U źródła postępu cywilizacyjnego jest zawsze zagrożenie (wyzwanie?) — Challenge. Wyzwanie może wychodzić od natury, np. w postaci zmiany klimatu, od innych grup ludzkich itd. Jeżeli odzew („response“) na to wyzwanie jest słaby albo niewłaściwy, grupa ludzka ginie lub wyrodnieje, jeżeli jest odpowiedni, tworzy nowe wartości. Jest w tym bardzo dużo prawdy, ale czy cała prawda? Przeniesienie ciężaru badań dziejów cywilizacji z metody przyrodniczej na metodę psychologiczną wydaje mi się słuszne, ale to jest dopiero metoda a nie wyjaśnienie istotnego przebiegu i sensu zjawisk.

Toynbee maluje taki alegoryczny obraz ludzkości. Olbrzymie zbocze, czy też ściana górską; po nim wspinają się grupy ludzkie; niektóre idą włączyć się górę, inne przysiadły wycieńczone i śpią; te ostatnie to ludy prymitywne. Otóż alegoria ta jest fałszywa. Zbocze, po którym się wspinamy nie jest nie-

CZYTAJ — PRENUMERUJ —
POLECAJ
„MYŚL POLSKĄ“

ruchome i nie można na nim przysiąść ani na chwilę. Zbocze to pokryte jest ruchomym piargiem i ten tylko w ogóle posuwa się ku górze, kto wspiął się z wysiłkiem i umiejętnością. Kto nie wspiął się dość szybko, ten zjeżdża w dół. Nie ma stania w miejscu, nie ma odpoczynku. Pozornie wstrzymane w ruchu grupy, nie są gdzie były przed wiekami, są niżej, coraz niżej. Może nawet minęły się z nami po drodze, może były niegdyś wyżej od nas. Mówią już nie alegorią ale analogią: człowiek, który przestaje się uczyć, nabywać nowych wiadomości i przyzwyczajęń, nie stoi w miejscu ale z upływem lat akcentuje coraz bardziej swoiste cechy i obyczaje, nie jest zakonserwowany psychicznie, nie jest jaki był dwadzieścia lat temu, jest gorszy, zdziwaczal. Rodzina, która żyje życiem zamkniętym, umacniając we własnym kółku przez powtarzanie stałe przyzwyczajenia, dziwaczaje. Społeczność, która nie ma stosunków i wymiany z innymi społecznościami, która nie przełamuje starych przyzwyczajęń, nie tworzy nowych, dziwaczaje. Ludy prymitywne, to nie zakonserwowane okazy tego, czym byliśmy wszyscy, to okazy zdziwaczale. Dość porównać rysunki ludzi jaskiniowych sprzed kilkunastu tysięcy lat z rysunkami współczesnych Murzynów, by zobaczyć różnicę między prawdziwym, szczerym i młodym prymitywem a zdziwaczalym starym społeczeństwem.

Nasz autor cywilizacjami prymitywnymi bliżej się nie zajmuje. Zajmuje się genealogią cywilizacji wstecz i jak to często bywa u heraldyków, maluje drzewo genealogiczne budzące wiele wątpliwości. Ogłasza cywilizację egipską za fenomen, za twór samorodny i samowystarczalny, samoodradzający się i od innych niemal niezależny. Złudzenie takie miała nauka europejska do niedawna a pochodziło ono stąd, że cywilizacja egipska przetrwała dłużej od innych cywilizacji prawdziwie starożytnych i oglądali ją jeszcze nasi przodkowie cywilizacyjni, Grecy. Najnowsze badania i odkrycia tym mitem zachwiały. Cywilizacja egipska w pełnym tego słowa znaczeniu zaczyna się „dopiero“ w wieku trzydziestym szóstym przed Chrystusem. Badania archeologiczne wykazują, że powstanie jej łączy się z uprzednim przybyciem czy też najazdem ludzi z Azji. Cywilizacja, którą ci ludzie z sobą przynieśli wykazuje wyraźną zależność od starszej znacznie cywilizacji sumeryjskiej w Mezopotamii. Rzecz ciekawa, że w tej samej epoce podobny napływ ludzi z Azji Przedniej na Kretę zapowiada powstanie cywilizacji egejskiej czyli minońskiej (minońskiej?), którą dobili Grecy i po której odziedziczyli zręby swojej, a w dalszym ciągu i naszej cywilizacji.

Otóż owi Sumerowie... Mieszkali w Mezopotamii, gdzie wtedy Tygrys i Eufrat wpadały osobno do morza sięgającego daleko na północny-zachód. Skąd przybyli, nie wiadomo. Mieli bardzo silną tradycję potopu, a od potopu spisy władców nieprzerwane. Wykopiska w ostatnich dziesięcioleciach ujawniły, że w czterdziestym pierwszym wieku przed Chrystusem cywilizacja sumeryjska była już bardzo stara. Wystarczy obejrzeć produkty ich sztuki z tego czasu, choćby w książce Leonarda Woolleya, by przekonać się, że to coś bardzo dojrzałego, co, przy ówczesnym tempie przemian musiało mieć za sobą szereg wieków rozwoju. Szereg wieków przed czterdziestym... Dla nas 5.000 a.C. jest cyfrą równie niewyobrażalną jak np. — 5.000 C. To skojarzenie dać i ciepłoty może ułatwić nam wyobrażenie sobie owej przeszłości. A więc:

W wieku sześćdziesiątym ósmym a.C. północną Europę pokrywała skorupa lodowa. Ostatnia era lodowcowa miała się ku końcowi ale Europa miała jeszcze klimat arktyczny bądź borealny. Warunków na cywilizowane życie w niej nie było. Tak przynajmniej przyjęte jest w nauce od czasów dokonania przez Geera słynnych obliczeń w jeziorach szwedzkich u schyłku osiemnastego wieku. W tym czasie cywilizacja sumeryjska już pewnie kłębowała. Ale skoro już jestem przy temacie zmian klimatycznych, to wyskoczmy nieco naprzód. O wpływie tych zmian na cywilizację starożytności bardzo ciekawe wywody znaleźć można u A. R. Burna. Od wieku sześćdziesiątego siódmego, od końca ery lodowcowej (czwartej) klimat północnej półkuli ocieplał się stale i w wieku osiemnastym nastąpiło „optimum“. Na pewien czas stopniały lody na Biegunie Północnym (choć nie w Grenlandii). Od tej pory zaczęło się ochłodzenie. W wieku czternastym nastąpiło dość nagłe zwiększenie opadów w Europie i w basenie Morza Śródziem-

nego. W Europie środkowej przybrało ono postać żywiołowej katastrofy, której echa przechowali Grecy w legendzie o potopie Deukaliona (potop Deukaliona nie ma nic wspólnego ze znacznie dawniejszym potopem mezopotamskim przechowanym w tradycji sumeryjskiej). Okres ulewny trwał jakieś sto lat, po czym zaczęło się osuszać. Okres ulewny był niezwykle pomysły dla takich krajów jak północna Afryka czy Anatolia. W tej ostatniej rozkwita cywilizacja hettycka, jedna z największych cywilizacji starożytności (nawiasem mówiąc Hettyci przynieśli w basen śródziemnomorski ten kształt nosa, który dziś uważa się za żydowski). Powrót suszy w dwunastym i jedenastym wieku wywołał katastrofę żywnościową i wędrowkę ludów. Cywilizacja hettycka padła pod ciosami indoeuropejskich barbarzyńców. Powoli klimat oziębiał się w dalszym ciągu. Jeszcze we wczesnym średniowieczu znaczne połacie Islandii i Grenlandii, pokryte w naszych czasach lodowcem, były zielone i mogły wyżywić ludność. Aż w wieku dwudziestym po Chrystusie stwierdzono proces odwrotny. Klimat znowu się ociepla. Łód cofa się w Islandii i odsłania niegdyś uprawne grunty. W północnej Syberii granica lodów cofa się. Za kilka wieków zmiany te będą zapewne zupełnie dostrzegalne i nie pozabawione znaczenia ekonomicznego. Jak zarozumiali są swoją drogą ludzie w rodzaju nieboszczyka Malthusa lub żyjącego Boyd-Orra, którzy sądzą, że wiedzą ilu ludzi i kiedy ziemia może wyżywić!

Ale *retournons à nos Sumères*. Z cywilizacji sumeryjskiej wywodzą egipską, babilońską, hettycką, indyjską, egejską, a niekiedy uczeni starali się udowodnić, poprzez Turkiestan, filiację cywilizacji chińskiej z Sumeru. Jednym słowem jest to matka wszystkich cywilizacji lub prawie wszystkich cywilizacji Starego Łądu. O pochodzeniu cywilizacji

KALENDARZYK KOMBATANTA na rok 1950

w trwałej i luksusowej oprawie przynosi
cenne informacje ze świata

Cena 4/6 (plus przesyłka 3d.)

CENTRALNA SKŁADNICA KSIĄZEK SPK
57, Edbrooke Road, London, W.9

zacji południowej i środkowej Ameryki nie umiem nic powiedzieć pod tym względem, poza tym, że ludność pierwotna amerykańska jest rzekomo pochodzenia azjatyckiego (istotnie zresztą Indianie amerykańscy wyglądają jak opaleny Mongołowie).

„Krytyczny“ umysł osiemnastego i dziewiętnastego wieków przyjmował za niegodną uwagi legendę, że w czterdziestym pierwszym wieku a. C. żył Abraham, człowiek z miasta Ur. Nazwę uważano nawet za magiczną czy symboliczną czy coś podobnego. Aż w dwudziestym wieku p. C. N. odkopano wspaniałe ruiny w Mezopotamii. Odkryto cywilizację sumeryjską, ruiny okazały się jedną ze stolic Sumeru a tłumaczenia babilońskie tekstów sumeryjskich pozwoliły ustalić, że stolica ta nazywała się Ur i była w stanie rozkwitu w wieku czterdziestym pierwszym. A skoro już jesteśmy przy informacjach Pentateuchu: wedle mitologii greckiej Prometeusz był synem tytana Japetosa i Azji. Powtarzają to stary Hezjod i Apollodoros. Japetos był przodkiem ludów wybrzeży Azji Mniejszej i Wysp Egejskich, Japetos był przodkiem cywilizacji egejskiej. Owóż tego Japetosa Burn identyfikuje z Jafetem. Kto wie w takim razie, czy trzej synowie Noego, to nie echo podzielał na trzy najstarsze cy-

wilizacje: mezopotamskich Sumerów, egipskich Chamitów i egejskich Jafetydów. (Jak się nazywał ten lud, który stworzył cywilizację egejską, nie wiemy: mamy całą bibliotekę egejską, patrzmy w nią jak sroka w gnat i nie mamy żadnego klucza.)

Israelci byli chyba jedynym ludem, który przeszedł przez wszystkie trzy te cywilizacje. Abraham wyszedł ze stolicy Sumeru. Mojżesz był kapłanem egipskim, Palestyna była krajem cywilizacji filistynskiej a Filistyni? Filistyni byli jedną z ostatnich ości cywilizacji egejskiej. Kiedy padło ostatecznie panujące nad falami Knossos a lud, który stworzył jedną z najciekawszych cywilizacji świata, zniknął prawie bez śladu, poddane mu cywilizacyjnie plemiona rozprzeczły się przed nacierającymi od łądu europejskiego barbarzyńcami. Etruskowie nie oparli się aż w Italii, Sardaniowie na Sardynii, Sikelowie na Sycylii, Fenicjanie (pierwotni Fenicjanie nie byli Semitami) i Filistyni na wybrzeżu syryjskim. Goliat nosił jeszcze egejską zbroję.

A skoro już jestem przy Egejczykach (cierpliwości, już kończę niedługo), im zawdzięczamy trwający od starożytności sport torridy. Kochali się w igrzyskach byczych, sprowadzali, jak potwierdza legenda o Tezeuszu, młodych barbarzyńców na przymusowych torreadorów i odlewali postać ludzką z głową byka na swoich monetach. Razem dało to powód do powstania wśród ciemnych Hellenów bajki o Minotaurze czyli byku Minosa (nie wiemy czy Minos było to imię powtarzające się wśród władców egejskich czy tytuł władcy, czy nazwa ludu spersonifikowana, tak jak u nas lud personifikuje: „Ruski kazał naszym“). Tego potwora fantazja umieściła w labiryncie. Labirynt, podobnie jak Abrahama, uważano za bajkę, aż przed paru dziesiątkami lat odkopano na Krecie w Knossos niebywałych rozmiarów pałac złożony z konglomeratu budynków o tak powikłanym planie jak żaden inny na świecie. Nad bramami pałacu powtarza się herb egejski — podwójny topór, który nazywał się labris, skąd labrinth: pałac podwójnego toporu (jak klub Białego Orła na przykład). W labiryncie mieszkaly damy w bufiastych spódnicach i z gołymi piersiami i panowie z warkoczami, noszący na wąskich biodrach metalowe pasy, genitalia w ozdobnych pochewkach i długie lśniące buty. Aristokracja ta, pokrewieństwo licząca tylko przez matkę, władała morzem i handlem morskim od Sycylii po Cypr i Kaukaz, nauczyła Greków żeglować, wyrabiać piękną ceramikę, układać metryczne wiersze i uprawiać kult ciała. W egejską ceramikę lub robotę snycerską można się wpatrywać godzinami, nawet na fotografii. Oni także musieli nauczyć Greków realizmu w sztuce.

Daleko odbiegłem od Toynbeego. I już do niego dziś nie wrócę. Jest nowy rok. Pomyśleć, że ludziom się chce obchodzić rozpoczęcie tak mikroskopijnego okresu czasu, kiedy znane nam dzieje cywilizacji obejmują prawie młode lata. Życzę Ci w każdym razie z tej okazji, byś żył tyle lat, ile wieków ma nasza cywilizacja od czasów biblijnego potopu.

JOZEFA RADZYMIŃSKA

KRAJOBRAZ

Kilka słonecznych wspomnień w owocach mandarynek i niebo — tza ogromna wisząca nad głową, i jeszcze liście pod stopą jak rozlane wino — to jest fragment jesieni w kraju południowym.

Liście! Jeden z nich tak boleśnie przypomniał mi pewien polski liść klonu, rozpięty na kartce zielnika, który znalazłam pod wysokim drzewem jesieni polskiej — szczęśliwa dziewczynka.

I szarpnęło się serce za czasem, co przeszedł, obcy wiatr mnie zdziwieniem jak płachtą owinął: że w rozpacz minęło już ciężkich lat dziesięć i stoję w obcym kraju sam na sam z Ojczyzną.

Tymczasem liście platanów zerwały się spod stóp i uniesione wiatrem jak wdzięczne płomienie leciały wprost na linię złego horyzontu, który nieznanym losem opasywał ziemię.

Buenos Aires, 1949

FRANCISZEK STRZAŁKO

WYSTAWA MALARSKA JERZEGO FACZYŃSKIEGO

Ruchliwy Klub Towarzyski Polskiej YMCA, który od pewnego czasu stał się jednym z głównych ośrodków życia kulturalnego w Londynie, zorganizował ostatnio wystawę prac malarskich Jerzego Faczyńskiego. Osoba artysty znana jest nie od dziś czytelnikom „Myśli Polskiej”; reprodukcje jego rysunków ukazywały się parokrotnie w naszym piśmie, które zamieszczało również utwory poetyckie Faczyńskiego; ten malarz bowiem, który z zawodu jest architektem, próbuje swych sił i w poezji. Faczyński rozpoczął studia wyższe jeszcze przed wojną na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. W czasie wojny służył w lotnictwie w Polsce i w Wielkiej Brytanii, po czym powrócił do nauki w Polskiej Szkole Architektury w Liverpoolu, którą w krótkim czasie ukończył, uzyskując dyplom inżyniera architekta. Obecnie od szeregu lat wykłada rysunek ręczny i malarstwo w szkole, której po części jest wychowankiem, a która w międzyczasie przeniosła się z Liverpoolu do Londynu.

Faczyński ma już za sobą szereg pozycji w tych dziedzinach twórczości, w których architektura i malarstwo zazębiają się poniekąd wzajemnie. Najważniejszym bodaj osiągnięciem jest tu bogata teka rysunków zaopatrzonej w angielski tekst objaśniający i opublikowana pt. „Studies in Polish Architecture”. Są to fantazje architektoniczne oparte w dużej mierze na motywach architektury polskiej. Podobne rzeczy tworzył niegdyś niezrównany Noakowski, toteż każdemu wstępującemu w jego ślady groziło niebezpieczeństwo popadnięcia w naśladownictwo. Otóż przyznać trzeba, że Faczyński niebezpieczeństwa tego uniknął i poza nielicznymi stosunkowo wypadkami, w których wpływ Noakowskiego jest widoczny, stworzył rzecz odmienną i własną.

Od fantazji architektonicznych tego typu, jaki spotykamy w „Studies in Polish Architecture”, już tylko krok jeden do dekoracji scenicznej, toteż nie jest zjawiskiem nieoczekiwanym, że obecnie Faczyński projektuje dekoracje do filmów i dla teatru polskiego.

Obok rysunków o tematyce architektonicznej Faczyński coraz więcej uprawia inne, czysto „malarzkie” rodzaje. Gdy odwiedziłem niedawno artystę, nie zauważyłem wśród licznych płócien i kartonów w jego mieszkaniu ani jednej pracy, której tematem byłaby architektura. Zapytałem go, czy już zupełnie wziął rozdział z tą dziedziną twórczości; odparł, że nie i że uważa się w połowie za architekta a w połowie za malarza.

Wśród licznych dziedzin, które interesują artystę, zgoła nieostatnie miejsce zajmuje grafika „czysta” i użytkowa. Faczyński jest wielkim entuzjastą drzeworytów ludowych, z których czerpie natchnienie do swych prac. Otrzymałem niedawno od artysty linoryt pt. „Zmartwychwstanie”. Gdy przyłożyłem go do ściany nad moim łóżkiem, zastanawiając się jak go powiesić, miałem wrażenie, że mój londyński pokój się przeistacza i że jestem zupełnie gdzieś indziej, i w czasie i w przestrzeni. To już nie był Londyn, lecz jakaś chata wiejska w Polsce, jedna z tych wielu, gdzie człowiek tak często się zatrzymywał w czasie wycieczek naukowych, lub ćwiczeń wojskowych; tak to artysta potrafił przy pomocy paru czarnych plam umiejętnie rozłożonych na białym tle, oddać klimat źródła, z którego wyrosła jego twórczość.

Na wystawie w YMCA Faczyński sprawił pewien zawód wszystkim tym, którzy, tak jak ja, spodziewali się ujrzeć jakieś nowe i oryginalne wizje architektoniczne. Martwe natury, akty, pejzaże — oto tematyka wystawionych prac. W jednym czy dwóch wypadkach artysta próbuje swych sił w malarstwie beztematowym. Do najlepszych eksponatów wśród prac olejnych należą „Cytryny i biały czajnik” oraz „Gruski i winogrona”; wśród rysunków zwracają m. in. uwagę dwa motywy kwiatów zawieszonych w hallu i niektóre akty w głównym salonie. Wystawa wykazuje wyraźnie, że artysta obdarzony takimi zdolnościami, jak Faczyński, ma bardzo duże możliwości przed sobą, jeśli tylko odpowiednio wykuwać będzie własną drogę w dziedzinie twórczości malarskiej.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

„KSIĄŻKA O KOŁYMIE“

Anatol Krakowiecki: **KSIĄŻKA O KOŁYMIE**. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”. Londyn, 1950. Stron 256. 13 ilustracji. Cena 12/6.

Wielu dziennikarzy pisało o Sowietach i nadsyłało stamtąd sprawozdania. Nawet ci wszakże, którzy stosunkowo najwięcej mogliby się dowiedzieć i najwnikliwsi mieli sąd, znali zaledwie powierzchownie rzeczywistości, prawdziwe rozmiary otchłani, w jakiej żyje ludność Związku Sowieckiego mogli najwyżej przeczuwać. Na to, aby tę rzeczywistość poznać trzeba było zostać sowieckim niewolnikiem.

I spośród niewolników sowieckich przecież nie wszyscy doszli na samo dno tej otchłani. Ta rola przypadła dziennikarzowi polskiemu p. Anatolowi Krakowieckiemu, a był on do niej — jakby się wydawało — najmniej przygotowany. Cudowny kompan, znakomity anegdotycz, trochę cygan literacki, krakowiak, popularny wśród braci dziennikarskiej, z zacięciem satyrycznym i humorystycznym, daleki był przed wojną od życia problemami filozoficznymi, socjalnymi, czy religijnymi a nawet studiowania zagadnień wielkiej polityki. A jednak właśnie

temu człowiekowi przypadło w udziale dojść do dna Sowietów, przetrzymać i opowiedzieć światu, co widział.

Dante opisując piekło przedstawia je w postaci szeregu coraz niżej położonych kręgów, a im krąg głębszy tym straszniejsze w nim są cierpienia. Nad wszystkim panuje straszliwa atmosfera beznadziei, straszniejsza dla mieszkańców piekła niż zadawane im fizyczne tortury. W każdym kręgu spotykał Dante znajomych, żadnemu nie mogli nic pomóc, znikali oni a pojawiali się inni. Wspomnienia Krakowieckiego są właśnie reportażem z piekła. I on — jak Dante — schodzi w coraz to niższe kręgi, coraz to intensywniejszego cierpienia: przez coraz to gorsze więzienia, coraz wymyślniejsze tortury, coraz bardziej nieludzkie warunki transportów, dociera wreszcie do podbiegunowego kraju złota nad Kołymą, gdzie ziemia nie odmarza nigdy poniżej 80 cm, gdzie nawet w upalne dni letnie kałuże w cieniu są zamrożone. Tam spada wreszcie do ostatniej kategorii człowieka, pomiędzy kaleki o odmrożonych kończynach, do grupy tzw. „dochodlagów”, którzy nie bardzo już mogą chodzić i giną codziennie setkami przy wyganianiu na roboty. W tym ostatnim stadium, które nie może trwać dłużej niż tygodnie, autora doszła wreszcie na wiosnę 1942 r. słynna „amnestia”.

Mimo tak strasznej kanwy osobistych przeżyć „Książka o Kołymie” nie jest pamfletem. Jest to reportaż, w którym autor zajmuje takie stanowisko, jak dziennikarz biorący udział w jakichś wydarzeniach w roli obserwatora. Świadomym przez cały czas stara się on gromadzić i zapamiętywać fakty, nazwiska, daty, a gdy wskutek wycieńczenia głodowego pamięć staje się słabsza, chodząc po syberyjskich bagnach sam sobie opowiada, co widział. Odnosi się wrażliwie, że żyłka dziennikarska była jednym z głównych czynników utrzymujących autora przy życiu i pozwoliła mu przetrwać, gdzie tysiące silniejszych od niego marło codziennie.

Nie tu miejsce na opisywanie, czym jest kraj kołymski, gdzie pod wiecznym śniegiem leżą niemal na powierzchni ogromne złoża kruszcu złotego i gdzie przy jego wydobyciu mrą corocznie dziesiątki tysięcy ludzi. Krakowiecki opisuje, jak zobaczywszy po wyjściu z Rosji w Persji pierwszych przestępców skutych kajdanami, zazdrościł im. Najgorszą bowiem torturą moralną jest to, że po tajdze kołymskiej chodzi człowiek swobodny fizycznie, a nie ucieka, bo musi wrócić tam, gdzie grąca gorąca wodę i kilkaset gramów chleba. Przed stu laty rząd carski przykuwał katorżników do tacek. W owym czasie bowiem zbieg mógł liczyć na pomoc koczowniczych Jakutów czy Tunguzów. Dziś plemiona te są tak sterroryzowane, że zbiegowi ucinają głowę i odnoszą do NKWD. Bez pomocy zaś ludzkiej nie można przeżyć kilku tysięcy kilometrów bagna lub śniegu.

W zakończeniu autor zestawia w kilku zdaniach Kołymę i Oświęcim jako dwa najstraszniejsze miejsca na ziemi. Zestawienie obozów niewolniczych niemieckich i rosyjskich daje

do myślenia: Tu i tam fizyczne strono cierpienia, a więc przede wszystkim głód i bicia, są podobne. Pod tym względem człowiek niewiele może wymyślić. W niemieckich obozach nieludzkich było niewątpliwie więcej przemysłowego sadyzmu i kierowane były przez wyrainowanych katorżników. Wśród administracji obozów sowieckich element ludzki jest bardziej różnorodny, w masie swojej nie tak sadyzyczny. Mimo to łagry są chyba jeszcze bardziej nieludzkie od kaceł. W tych ostatnich wszystko nastawione było na walkę z człowiekiem i jego poniżenie. W tych pierwszych człowiek w ogóle nikogo nie obchodzi. Jest tylko narzędziem, materiałem łatwo zniszczalnym i niedbale marnowanym. Nie tylko sam musi przestać czuć się człowiekiem, ale nabiera przekonania, że człowiek w chrześcijańskim tego słowa znaczeniu w ogóle nie istnieje. Druga różnica jest geograficzna. Obozy niemieckie leżały w środku Europy, a więzien miał to poczucie, że jeśli ucieknie, może piechotą dojść do domu. Krakowiecki cytuje pieśń więźniów kołymskich zaczynając się od słów: „Kołyma, Kołyma coś ty za planeta“. Istotnie człowiek wywieziony w podbiegunowe okolice Syberii jest jakby na innej planecie, skąd nie można wrócić inaczej niż rządowym środkiem lokomocji. Jest to zupełnie inny świat i klimatycznie i psychicznie, świat w którym nie ma ludzi wolnych.

Autor opowiada, że miał raz możliwość napisania do rodziny w Krakowie i że tego nie zrobił. Podaje różne tłumaczenia, które zdają się omi-

jać istotę sprawy. Piszącemu te słowa przypomina się korespondencja jednego z jego dziadków, który po kilkunastu latach katorgi odezwał się z Syberii po raz pierwszy i usiłował wytłumaczyć matce, tak długie milczenie. I on był w swoich tłumaczeniach nieporadny. Wydaje się po prostu, że myśl utrzymywania kontaktu ze światem cywilizowanym jest w warunkach katorżniczych syberyjskich niemal niedorzeczna, coś jak pisanie listów do ludzi z innej epoki, do dawno zmarłych przyjaciół. Inna planeta.

Najstraszniejszym wrazeniem czytającego tę książkę jest refleksja, że po zwolnieniu Krakowieckiego zostało tam jeszcze na pewno wielu Polaków i że do tej pory tysiące tam powieziono. Dla czytelnika „Książki o Kołymie“ jest rzeczą niewyobrażalną a jednak męczącą myśl, że w tej samej chwili miliony ludzi męczą się w łagrach, że tysiące kalek bez rąk lub nóg pracują z potwornym cierpieniem w podbiegunowej nocy, która rozciąga się od Wypsołowieckich poprzez Kołymę do Kamczatki.

Jest to reportaż pod względem formalnym bardzo dobrze napisany, ale wątpliwe należy czy wielu czytelników to zauważy, tak dalece treść przygnęta wszelką refleksją. Nie wiem, czy są czynione jakieś starania wydania tej książki po angielsku (mają wyjść tłumaczenia francuskie i włoskie), ale jeżeli jeszcze nie są, należy je wszcząć jak najszybciej. Ta książka nie będzie oczywiście w świecie anglosaskim popularna w potoczny sposób znaniu, ale tam gdzie dotrze zrobi swoje.

W. W.

CHYBIONA PODRÓŻ I CHYBIONA PRACA

John Gunther: BEHIND EUROPE'S CURTAIN. Hamish Hamilton. Londyn, 1949. Stron 343.

Autor, który jest znanym dziennikarzem amerykańskim i autorem kilku książek reportażowo-encyklopedycznych (niedawno wydał olbrzymi, przeszło 1000-stronicowy tom pt. „Inside USA“), podjął w zeszłym roku podróż po Europie z tej i tamtej strony tzw. żelaznej kurtyny. Swoje wrażenia i spostrzeżenia z tej podróży sumuje na kartkach ostatniej swej książki, główną uwagę poświęcając krajom satelickim Rosji. Do Rosji samej nie udało mu się dotrzeć, ponieważ odmówiono mu wizy.

Gunther pisze żywo i zajmująco, bez uprzedzeń i z wyraźną dobrą wolą i chęcią zrozumienia punktu widzenia swego przeciwnika politycznego. Idzie w tym kierunku może zbyt daleko i niejednokrotnie, mówiąc trywialnie, daje się nabić w butelkę przez swoich informatorów z żelaznej kurtyny. Razi też u niego tak częsta u dziennikarzy amerykańskich nieznajomość głębszego tła zjawisk politycznych w krajach europejskich, ich historycznego uzasadnienia i ich znacznie bardziej złożonego charakteru, niż to się mieści w umysłowości przeciętnego amerykańskiego reportera, gonionego za aktualnością, o ile możliwości podszyta sensacyjnością, i mającej zawsze w zanadru proste rozwiązania.

Ta symplifikacja stwarza oczywiście

niefajne perspektywy i wybitnie utrudnia zrozumienie rzeczywistości. Prowadzi też do usprawiedliwiania stosunków w krajach podbitych przez Rosję, których by u siebie Amerykanie w żaden sposób nie tolerowali.

Niejednokrotnie odnosi się wrażenie, że Gunther nie uważa losu narodów zza żelaznej kurtyny za tragiczny. Nie rozumie on, zdaje się, że ich sytuacja doznała katastrofalnego pogorszenia. Posłuchajmy bowiem takiej jego wypowiedzi: „Swobody obywatelskie nie stanowią przedmiotu poważnego zainteresowania wśród ludzi, którzy nigdy ich nie posiadali... Zapytaj przeciętnego wschodnio-Europejczyka w sprawie wolności prasy np., a on ledwo zrozumie, o co tobie chodzi ani też nie dba o to. Natomiast jest on zainteresowany w wolności jedzenia i zapewnienia sobie wykształcenia i pracy“ (str. 320).

Źródło takiego stawiania sprawy należy szukać z jednej strony w sugestiach obecnych władców krajów satelickich Rosji, z drugiej zaś w owej amerykańskiej skłonności do upraszczania sobie zagadnień i sprowadzania zjawisk wyższego rzędu do mianownika materialnego.

Spośród krajów satelickich Polska najkorzystniejszą zrobiła na autorze wrażenie. Imponuje mu rozmach odbudowy, a respekt budzi postawa społeczeństwa, tak ciężko doświadczonego w czasie wojny i po jej zakończeniu, społeczeństwa, które nie str-

ciło swej indywidualności i wyposażone jest w wolę twórczą. Autor czyni przy tym uwagę, że Rosjanie czują, iż Polakom mogą najmniej ufać („Poland is probably the country the Russians are least sure of“ — str. 30).

A jednak rzekomo ta Polska korzysta z największej stosunkowo, wśród państw satelickich, swobody. Potwierdza to jakoby fakt, że w czasie pobytu w Polsce autor nie widział ani razu chorągwi czerwonej, chorągwi sowieckiej czy fotografii Stalina. „They simply do not exist“ — powiada. To spostrzeżenie wywołało drwiny nawet tak żywiołowego Rosji Sowieckiej pisarza, jak Aleksandra Wertha.

Z tego i wielu innych spostrzeżeń i osądów autora wynika, że był on dobrze obstawiony w Polsce i odpowiednio nafaszerowany informacjami i sugestiami, mającymi wywołać korzystne wrażenie na Zachodzie.

Poza uwagami dotyczącymi tempa odbudowy kraju, a zwłaszcza Warszawy, która jest jeszcze wprawdzie w ruinach, ale „równocześnie jest najżywszą stolicą w Europie“, poza przytoczeniem historii formowania się powojennego państwa polskiego z takimi kwiatkami, jak powiedzenie, że „obydwa rządy (londyński i lubelski) złączyły się (merged) w tzw. Polski Pro wizoryczny Rząd Jedności Narodowej“, w książce znajdujemy cytaty z rozmów autora z „gen.“ Groszem i szarą emincencją rządu warszawskiego Jakubem Bermanem. Autor bez komentarza przytacza oświadczenie tego ostatniego: „Polska przedstawiana jest za granicą jako państwo marionetkowe. Jednak politycznie, kulturalnie i ekonomicznie jesteśmy absolutnie wolni“ (str. 263). Zdaje on sobie jednak sprawę, że oczywiście Polska żyje w ustroju dyktatorskim. Jakkolwiek przyznaje, że komuniści i to szkoleni w Moskwie, mają głos decydujący w państwie, oddaje się jednak pewnym złudzeniom co do roli innych partii politycznych, zwłaszcza socjalistów, których odrębność organizacyjna zresztą tymczasem została zlikwidowana.

Spostrzeżenia Gunthera na temat Polski są na ogół zbyt powierzchowne. Widział to, co mu widzieć pozwolono, żywotność i dynamizm narodu, energię, wykazaną w zakresie odbudowy, powtarza bajeczki o zacofaniu przedwrześniowym (np. o chorej służącej w domu jakiegoś dyplomaty amerykańskiego w Warszawie, do której ku oburzeniu arystokratycznych znajomych żona tego dyplomaty wezwała swego lekarza!), o feudalizmie, o tym, że obecnie stosunki mieszkaniowe w Warszawie przedstawiają się lepiej niż przed wojną itd. itd. Są to wszystko echa zozydzenia przeszłości, by tym jaśniej rysowała się jakżeż w istocie smutna terażniejszość. Gunther niewątpliwie dał się użyć za tubę rzeźnikom reżymu komunistycznego w Polsce, choć nieświadomie, po prostu z nieznajomości rzeczy.

Również jego wnioski ogólne nie odznaczają się oryginalnością i głębią. Państwa Europy wschodniej znajdujące się w orbicie rosyjskiej rzekomo wyzwoliły się spod niewoli feudalnej (czyż to nie lekka przesada?), ale popadły w niewolę przemysłową pod Sowietami, a czyż to nie jest wypędzanie szatana Belzebubem?

System sowiecki nie wykazuje sprawności, nie daje takich rezultatów,

jak system i sposób życia amerykański, który dowiódł swej wyższości. Autor doradza polityce Stanów Zjednoczonych, by usiłowała izolować stopniowo państwa satelickie od Rosji i pobudzać procesy prowadzące do samodzielnego życia tych krajów jako wolnych i niepodległych republik. Jak konkretnie wykonać taki program, tym się już autor nie kłopotuje. Zupełnie tak, jak gdyby jakiś filantrop doradzał wleźniowi, że powinien w swym życiu zawodowym posługiwać się najnowszymi urządzeniami dla pozyskania wielkiego zastępu klientów.

Cunther zapatrzony jest w eksperyment Tita, poza tym, z wielką dozą optymizmu, przekonany jest o słabości materialnej i technicznej Sowie-
tów. Tym się tłumaczy też dość dziwna jego recepta dla polityki amerykańskiej na terenie Europy środkowo-wschodniej.

(m.ost.)

KSIĘGA LOTNIKÓW

DESTINY CAN WAIT. The Polish Air Force in the Second World War. Foreword by Marshal of the RAF Viscount Portal of Hungerford. Londyn, 1949. Nakładem Samopomocy Lotniczej. Stron XVI i 402. Z indeksem nazwisk i szeregiem ilustracji wielobarwnych i zdjęć. Cena 25 sh.

Albumowe wydawnictwa o wojsku polskim w drugiej wojnie światowej wychodziły przeważnie po polsku, raczej jako wspomnienie dla żołnierzy. Tu mamy do czynienia z wydawnictwem w języku angielskim, przeznaczonym dla Brytyjczyków. Szata graficzna jest imponująca, opracowanie staranne i ze znajomością odbiorcy. Przegląd istotnego wkładu lotnictwa polskiego do działań wojennych z uwzględnieniem kampanii wrzesniowej i francuskiej 1940 r. Bardzo dobrze wyselekcjonowany materiał anegdotyczny na poziomie kulturalnym, wolny od zaściankowego lub „kawaleryjskiego” humoru. Pomysłowe plansze, wykazujące realne znaczenie polskiego udziału w wojnie powietrznej i ogrom strat ludzkich, zwłaszcza w okresie ratowania Londynu. Reprodukce szkiców Topolskiego. Doskonały upominek dla przyjaciół brytyjskich. Przedmowa marszałka Portal. Redagowali: M. Lisiewicz, J. Baykowski, J. Głębocki, R. Głuski i W. Czerwiński. Strona graficzna: J. M. Miszewski, W. D. Włodarczyk, J. Faczyński i A. Guertler.

KALENDARZYK POLAKA W WIELKIEJ BRYTANII

KALENDARZYK POLAKA w WIELKIEJ BRYTANII — 1950. Składnica Harcerska, Londyn. Opracował F. Z. Ilustracje A. Horowicza. Cena 5 sh.

Dziesiąte wydanie Kalendarzyka świadczy najlepiej o jego wartości i potrzebie. Kalendarzyk zawiera wiele cennych informacji dla Polaków poza granicami kraju, aktualne adresy, kalendarium, notatnik, nową, w kolorach, mapkę kolejki podziemnej i bogaty dział ogłoszeniowy. Kalendarzyk, w trwałe skórzanej oprawie, wydany jest bardzo starannie i estetycznie.

MISCELLA LTD.

Dział budowlany

Wykonuje wszelkie remonty i dekoracje. Roboty elektryczne, wodociągowe i gazowe wykonywane są przez fachowców uznanych w Anglii
Kosztorysy wstępne gratis

Zgłoszenia pisemne lub osobiście do biura:
46, EXHIBITION RD., LONDON, S.W.7

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

WALNY ZJAZD ZWIĄZKU DZIENNIKARZY

17 ub. m. odbył się w Londynie Walny Zjazd Związku Dziennikarzy R.P. Obrady zostały poprzedzone nabożeństwem w kaplicy Matki Boskiej Kozielskiej w Brompton Oratory. Nabożeństwo na intencję poległych i zmarłych dziennikarzy odprawił ks. Wacław Tokarek, prezes Syndykatu Dziennikarzy R.P. w Niemczech.

Jak wynika ze sprawozdania Zarządu działalności Związku skierowana była w ubiegłym roku przede wszystkim na teren międzynarodowy: udział w Międzynarodowej Federacji Wolnych Dziennikarzy i sprawy propagandy polskiej. Temu zagadnieniu poświęcony był w drugiej części obrad rzeczowy referat red. A. Dargasa na temat: „Propaganda polska na emigracji a dziennikarstwo polskie“.

Wybrano nowe władze w następującym składzie: prezes Bolesław Wierzbiański, członkowie Zarządu Głównego: Tadeusz Łada-Bieńkowski, Antoni Dargas, Paweł Hećlak, Tadeusz Horko, Ryszard Mossin, Andrzej Onyszkiewicz, Ryszard Piestrzyński, Ludwik Rubel, Marek Święcicki, Wiktor Trościanko, Wacław Zagórski. Do Komisji Rewizyjnej zostali wybrani: Aleksander Bregman, Jerzy Jankowski, Maria Męcińska, Jan Ostrowski, Jerzy Prądziński, Ryszard Zakrzewski. Do Sądu Koleżeńskiego: Antoni Bogusławski, Tadeusz Katelbach, Ignacy Klibański, Stanisław Mackiewicz, Stefan Mękarski, Mieczysław Obarski, Wacław Tokarek, Włodziech Wasułyński, Kazimierz Wierzbiański.

W uzupełnieniu zamieszczonej w poprzednim numerze notatki o Kongresie Międzynarodowej Federacji Wolnych Dziennikarzy Europy Środkowo-Wschodniej i Krajów Bałtyckich i Bałkańskich podajemy, iż do władz Federacji weszli Polacy — p. Bolesław Wierzbiański jako prezes, p. Antoni Dargas jako zastępca sekretarza generalnego, wiceprezesa Federacji z urzędu jest p. Feliks Chrzanowski jako prezes Unii Regionalnej w Paryżu.

ODCZYTY ZJEDNOCZENIA

Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii we współpracy z stowarzyszeniami członkowskimi podjęło organizowanie i koordynację akcji odczytowej w terenie.

Tematyka odczytowa obejmuje zagadnienia ogólnoinformacyjne oraz kulturalno-oswiatowe. Zainteresowane odczytami ośrodki mogą zwracać się bezpośrednio do Zjednoczenia Polskiego lub do centrali swych organizacji w Londynie.

KONKURS RADIOWY

Sekcja polska radia francuskiego ogłasza nowy konkurs z nagrodami na temat „Czym jest radio w moim życiu?“.

Warunki konkursu:

1) Odpowiedź ujęta może być w formie artykułu, opowiadania, essayu, wspomnienia lub nawet wiersza.

2) Objętość prac nie powinna przekraczać 10 stron maszynopisu z odstępem.

3) Termin nadsyłania prac konkursowych mija 15 lutego 1950 r. Wyniki konkursu ogłoszone zostaną 1 kwietnia 1950 r. w audycji polskiej z Paryża, o godz. 20, na fali krótkiej 48,82 m.

4) Prace nagrodzone i wyróżnione odczytane zostaną przed mikrofonem. Zdobywcy trzech pierwszych nagród otrzymają radiodbiorniki, ofiarowane przez jedną z najlepszych firm francuskich „Pathe-Marconi“.

5) Prace należy wysyłać na adres: Radiodiffusion Française, Section Polonaise, 118, Av. des Champs-Elysees, Paris 8, France.

NA MARGINESIE

DOFCIPNY

Niegdyś wojskowy a dziś sanacyjny „Orzeł Biały“ w wielkim zakłopotaniu co napisać o Radzie Politycznej, postanowił to zadanie przekazać swemu felletoniście. Ten się wywiązał jak go było stać, a mianowicie napisał (przepraszamy czytelników za powtórzenie tego), że inicjały stronictw PPS, SN, NiD odczytane jako PP SS NN i D znaczą: Panowie... synowie nieznanego i d... Temu koszarowemu dowcipowi należy się koszarowe zakończenie: nie chodzi o zwykłe D., chodzi o D. Marynę.

„MYŚL POLSKA“

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W.8. Tel. WESTern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £1.16.0 lub 6 dol.